K. LASKOWSKI.
(El.)

LITWAKI

POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA.

WARSZAWA 1911.
Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka
(T. Hiż i A. Turkuł.)

Cena 80 kop.

K. LASKOWSKI.
(El.)

LITWAKI

Powieść spółczesna.

WARSZAWA.

Nakładem redakcji *Przeglądu Rzemieślniczego.*

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, Świętokrzyska 11.

Wstęp.

Słońce chyliło się ku zachodowi, zanurzając się za sinawą chmurę i złocąc jej wystrzępione, nierówne brzegi błyszczącym, jakby z płynnego metalu ulanym, rąbkiem. Dachy stacyjnych zabudowań czerwieniły się jasno w blaskach tej pozłoty, której promienie nad samym peronem mąciły kłęby czarnego dymu, dobywającego się spiralnemi skrętami z komina lokomotywy, stojącego u podjazdu pociągu.

Pociąg dopiero co stanął. Jeszcze drżały w powietrzu ostre tony „pierwszego dzwonka“. Z wagonów wysiadali pasażerowie, w oknach spuszczano szyby, wychylały się głowy podróżnych, na stopnie wchodzili chłopcy bufetowi, niosąc tace pełne szklanek gorącej herbaty, przeciskali się przez tłum przekupnie pomarańcz, pierników i czekolady, dwóch „gazeciarzy“ defilowało przed wagonami, pilnie patrząc w okna, czy ktoś nie zażąda dziennika, jakiej ilustracji, lub szczypty drukowanego za parę groszy humoru.

W oknie jednego z zielonych trzeciej klasy wagonów ukazała się właśnie wyrazista twarz o rysach

ostrych z wydatnym nosem nad pąsowemi, grubemi ustami, dokoła których wił się bujny, czarny, kędzierzawy zarost. Czasem przenikliwe i trochę zaczerwienione w obwódkach oczy patrzyły z tej twarzy na snujący się po peronie tłum, ruchliwie prześlizgując się z jednej postaci na drugą.

Pogardliwy uśmiech skrzywił usta podróżnego.

— Naczynajet-sia Polsza!... — mruknął.

— Sug mal Borysower — my tu długo będziemy stoić? — zabrzmiało za nim szybkie, nerwowe pytanie.

Borysower odwrócił się wolno do wnętrza wagonu. Na drewnianych ławkach siedziało tam trzech jeszcze pasażerów. Dwaj z nich ubrani byli w długie, ciemne paltoty różniące się od chałatów tylko surdutowym u szyi fasonem i materjałem, na głowach zaś mieli czarne, letnie czapki — trzeci miał na sobie ciemno-bronzowy marynarkowy garnitur, zielony krawat i miękki kapelusz.

Borysower popatrzył na nich zwolna.

— Panu się bardzo śpieszy, panie Ustman? — rzekł do pasażera w bronzowym garniturze.

— Dlaczego się niema śpieszyć? — odparł Ustman, wstając. — Tyle czasu się jedzie, jedzie i nie można dojechać! Kości już bolą... nudno!

— Jeszcze całą noc trzeba jechać — westchnął jeden z siedzących.

— Ja pójdę kupić gazetę! — rzekł Ustman, wychodząc na wagonowy kurytarzyk.

Borysowicz usiadł i zsunął czapkę na tył głowy.

— Gorąco jest!... — sapnął, ocierając spocone

czoło. — Marszeles? czy wy Gitlowicza wliczacie do siebie?

— A kogo mam zaliczać? — odpowiedział Marszeles, — mały, niskiego wzrostu żyd z siwą, żółtawą na końcach brodą i, wsparłszy ręce na parasolu, począł pilnie patrzyć w oczy Borysowicza wypłowiałemi żrenicami koloru rozwodnionego wina rodzenkowego.

— Zaliczajcie sobie!.. ja przecie nic nie mówię... rzekł Borysowicz — ale wy Gitlowicz przyjdźcie jutro do mnie zaraz po południu — ja was poznam z Katzemgoldem; nie trzeba tracić czas!

— Co mamy tracić czas? — zawołał Marszeles — ja jemu pierwszy powiedziałem, że ja jego zaprowadzę do Wawrendufta!

— Co jest Wawrenduft?

— A co jest Katzengold?

— Wy, Marszeles, potrzebujecie spokojnie słuchać. Ja wam zaraz powiem co jest Katzengold, to wy sami zmiarkujecie, że Wawrenduft to nic jest.

— A różnice! — syknął Marszeles, nerwowo podskakując na ławce — jak wy chcecie żeby Wawrenduft był ganef, to on zaraz ma być ganef?

— Sss! żeby on był chociaż porządny „ganeff“ ale nie jest! wy chcecie wiedzieć, Marszeles? to ja powiem! on jest „gekeszenes ganef“! *) to wy chce-

*) Gekeszenes ganef = złodziej kieszonkowy; termin złożony z hebrajskiego rzeczownika „ganef“ (złodziej) i z polskiego „kieszeń“, użytego w niemieckiej formie czasownikowej z suffiksem „ge“ cz. dokonanego.

cie do niego prowadzić taki porządny kupiec jak Gitlowicz, żeby on z nim zrobił interes!

Marszeles zerwał się z ławki.

— Żeby ten pociąg nie ruszył z miejsca, jeżeli to jest prawda! — zawołał.

Ale Borysower wyciągnął rękę i ujął go za ramię.

— To jest prawda! i dlaczego wy chcecie, żeby ten „pojezd“ się nie ruszył? on się właśnie ruszy! a wiecie dlaczego? bo potrzebno jest, żeby my jechali dalej spokojnie — i potrzebno jest, żeby Gitlowicz zrobił solidny interes z Katzengoldem, a nie z naszym Wawrenduftem!

— Dlaczego to jest potrzebno?

— Ja wam powiem. Ja to już mówiłem Gitlowiczowi, ale ja jemu nie powtórzę, a wy słuchajcie bo wam zarobku nie da ani Wawrenduft ani Katzengold tylko sam Gitlowicz.

— Ja słucham! ale mnie jest dziwno...

— Może być i dziwno — to nie kosztuje! wy słuchajcie Marszeles, to wam nie będzie dziwno. Wy mi powiedzcie najpierw: czy Gitlowicz jest porządny kupiec?

— Oj joj! dlaczego on niema być porządny? on jest bardzo porządny!

— I bogaty?

— Bogaty? — jakby on nie był bogaty, toby nie był porządny! czy to można być bidnym i porządnym?

— Un nie jest bidny. On nawet jest bardzo nie bidny.

— Wiadomo! co z tego ma mieć Wawrenduft?

— Nic nie potrzebuje z tego mieć! Wy nie skoren, Marszeles, wy zarobicie i tak! ja wam powiadam!

— Z jakim sposobem?

— Gitlowicz potrzebuje zrobić dobry interes! a sieher genef!

— A soj! a ganz sieher geneff? — wtrącił się milczący dotąd Gitlowicz — a geszeft bez wsiakowo rysku!

— Wy słyszycie, Marszeles? Gitlowicz wam sam powiada! słuchajcie dalej: co ma Wawrenduft? on ma sklep. Ten sklep trochę idzie, a trochę stoi.

— Un ma towary...

— Ma. Ja życzę moje wrogi taki towar. Ten towar co on go ma, jest ganz git na plajte ale jest ganz szlecht na handel! Wszystkie jego sąsiady mają takie same sklepy. Co on może targować? całkiem nic?

— Jak Gitlowicz z nim zrobi szytwę *)...

— Gitlowicz z nim nie zrobi szytwę. Gitlowicz potrzebuje zrobić szytwę na taki geszeft, co idzie i będzie szedł.

— Kanieczno! — wtrącił Gitlowicz.

— Katzengold właśnie taki interes ma — ciągnął dalej Borysower — on ma damski bławatny towar i do niego na Nalewki przychodzą kupować katolickie kobity z całego miasta. On zarabia siedemdziesiąt procent — czasem więcej.

*) Szytwa=spółka.

— To po co on potrzebuje szitwes?

— On potrzebuje szitwes, bo on chce zrobić duży ruch. On potrzebuje wziąć nowy drugi sklep i sprzedawać gotowe konfekcje. On potrzebuje na początek sprowadzić z Berlina trochę modele i posadzić dziesięć, piętnaście może dwadzieścia krawce i szwaczki, coby na te modele szyły gotowy towar z jego materjału. To on sprowadzi dwa modele na każdą rzecz a sprzeda dwadzieścia! I to będzie wszystko recht zagraniczne, sprowadzane Mode-Waaren! wszystkie katoliczki będą u niego kupować, bo on będzie dawać o 15 może 20 procent taniej od inne katolickie kupce, a będzie zarabiać na tem swoje sto procent, może więcej! Teraz to wy rozumiecie Marszeles, że on potrzebuje to zrobić?

Marszeles przymrużył oczy. Myślał. Myślał i obliczał, kiwając się zlekka. Borysower i Gitlowicz patrzyli na niego w milczeniu.

— Co ja na tem zarobię? — spytał w końcu cicho.

— Co wy możecie zarobić?

— Ja wim?

— Ja też nie mogę wiedzieć! Sugt a wort!

— Wy mnie dacie czwartą część z tego co dostaniecie od Katzengolda.

— Ujj! czemu wy nie chcecie 50 procent?

— Ja chcę 25 procent!

— Co jest 25 procent? skąd wy wiecie co może dać Katzengold? On nie da prawie nic!

— To wy mi z tego dacie 25 proceet!

— Ja wam dam 10 procent!

— Ja potrzebuję 25 procent!

— Co jest „potrzebuję"?! jakbym ja wam nie powiedział, wy nie dostalibyście nic!

— To mnie by dał Wawrenduft...

— Co taki ganef może dać? Ujj, Marszeles, wy jesteście jak dziecko! Wy wierzycie na taki Wawrenduft! ja wam dam 15 procent — ostatnie słowo!

— Wy możecie dać 25!

— Żeby moje wrogi tak mogli! ja wam dam 16!

— Ja wam co powiem Borysower — wy dacie 20 a Gitlowicz da 10...

— Co znaczy? za co ma dać Gitlowicz?

— Za szytwę!

— Joch git niszt! — rzekł Gitlowicz.

— Wus sugt ir? za co wy nie chcecie dać?

— Joch git niszt!!

— Un nie może dać nic! on przyjeżdża z Rosji do nasze kupcy i daje swoje pieniądze, żeby my mogli się bronić przed gojami — jemu nie potrzebno dać nic!

— To jest gadanie! on zrobi geszeft, co żaden goim będzie miał te zyski...

— Wus wolt ir? jakby on nie miał zrobić, toby on nie przyjeżdżał do nas! ale jemu wigoniali stamtąd!

— To przez tego my jemu dajemy interes!

— On nie może dać nic!

— Da! ja nie magu! — rzekł Gitlowicz.

Wtem na peronie ozwał się drugi dzwonek. Jeszcze nie przebrzmiał jego głos, kiedy tuż pod ścianą wagonu rozległa się zmieszana wrzawa głosów, wśród których górował jakiś chrapliwy dyszkant.

— Ustman? — zawołał, wstając Borysower — wus schrajter?? i wychylił się z okna.

U stopni wagonu stała zbita gromadka ludzi, otaczająca roznosiciela gazet i Ustmana. Błyszczące oczy, zarumienione gniewem policzki, kilka ściśniętych w kułak pięści, znamionowały jakąś sprzeczkę. Ustman zaperzony starał się dostać na stopnie wagonu.

Borysower wybiegł na korytarz. Za nim podążyli Marszeles i Gitlowicz.

— Wus ist k'szejn?... — zawołał Borysower, stając u wyjścia.

— Bezparjadok! — wołał zaperzony Ustman — sumaszedszyje! rugajut mienia! bijut"!

— W czom djeło? — zapytał Gitlowicz.

— Chciałem kupić gazetę — „Warszawskij Dniewnik" — tłomaczył Ustman po rusku — „gazetczik" nie miał! powiedziałem mu, że to „nachalstwo" sprzedawać „polskije żurnały" a ruskiej gazety nie mieć! A on się stawia!

— Nieprawda! wymyślał chłopakowi! jakie prawo ma! p..ch jakiś! nie chce czytać polskiego pisma, to niech nie kupuje! ale wara mu wymyślac! cóż to on?! Naczelnik jaki? — wołali wszyscy jeden przez drugiego. Pięści wyciągały się coraz bliżej. Biedny „gazeciarz" płakał, mówiąc, że go potrącił Ustman.

Borysower puścił w ruch język — posypały się znów łajania z obu stron.

Z drzwi, prowadzących na prawo z kancelarji stacyjnej, wyszedł żandarm. Spojrzał na rozjątrzoną gromadkę i zaczął ku niej zwolna iść.

— Kimt rajn! — zawołał Borysower, szarpiąc Ustmana za ramię. Ten i ów się obejrzał. Zaczęli się cofać. Wtem rozległ się gwizd lokomotywy—jęknął dzwonek stacyjny—odpowiedziała świstawka zawiadowcy — pociąg ruszył.

Do przedziału wracali zaperzeni, zziajani, szwargocząc zaciekle, Borysower i Ustman. Za nimi zwolna wszedł Gitlowicz i Marszeles.

— To jest napaść! rozbój! gwałt! — wołał Ustman, — a policja nic nie mówi takim łajdakom! Oh!! żeby tak u nas w Smoleńsku! poszliby do kryminałut wsie! albo w Sybir!..

Jakiś pasażer przechylił się drugiego przedziału.

— Nie trzeba, mój panie wymyślać nikomu od polaków! tu polski kraj! i polski naród!

— Czto? Polsza?! at udiwitielno! — zawołał Ustman — ja ruskij! i ja tu ruską koleją jadę! za rosyjskim pasportem! czto dla mienia paljaki! nie znaju! nie choczu znat'!

Pasażer uśmiechnął się.

— Pan ruski? — rzekł—a wolno spytać czy — chrzczony?

Ustman obrócił się gwałtownie plecami i siadł— mrucząc coś pod nosem.

Ale Borysower wstał.

Zmierzyli się oczami z podróżnym.

— A wy czto? spytał. — Wam kakoje dieło mieszatsia?

— Ja podróżuję, jak pan! — odrzekł pasażer spokojnie — i proszę żeby w wagonie nie robić ha-

łasu i nie obrażać nikogo. Jeżeli panowie się nie uspokoicie na najbliższej stacji wezwę żandarma. Jestem urzędnikiem państwowym i — rosjaninem.

Borysower usiadł. W przedziale, gdzie jechał, zapanowała cisza.

Dopiero po długiej chwili czterej potomkowie Mahabeuszów zaczęli szeptać.

— To jest kraj rozbójników!— żalił się Ustman.

— Tsss! oni tylko lubią krzykać! uspakajał go Borysower.

— W Warszawie takie same polaki są?

— Są takie, są jeszcze inne. Co panu zależy? pan ich nie będzie widział!

— Jakto nie będę? jak ja będę redaktorem nowe żargonowe gazete, to ja muszę...

— Nic pan nie musi. Pan potrzebuje mieszkać w nasze miasto.

— Nie w Warszawie?

— W Warszawie, tylko na Nalewki, albo na Dzikie, albo na Gęsie, albo na Chłodne... jeszcze nie cała Warszawa nasza jest. Ale połowa jest nasza. Tam pan będzie mieszkał, tam pan będzie pisał— na nich!

— O! na nich to ja będę!.. a oni nie będą się na mnie rzucić?

— Z jakim sposobem? oni nie będą rozumieć, nie będą nawet wiedzieć... oni głupie są! tylko krzykać dużo lubią bardzo!

— A zarobić na nich można?

— Hörszte, Marszeles? — pan Ustman się pita czy można na polaki zarobić?

— A na kim będzie można jak nie na nich: to nie jest „można“ — to jest „potrzebno“! jakby nie było na świecie polaki, to z czego by my żyli?

Ustman zatarł ręce.

— To jest dobrze! — rzekł — nasze w Rosji też tak myślą i wszystkie się wybierają tu jechać!

— O wa! wystarczy miejsca! tylko one muszą razem z nami robić wszystko! a szitwe soł sajn?

W cieniu wieczornym, zalegającym wnętrze wagonu, poruszył się gruby Gitlowicz.

— Uwidim! — rzekł zwolna — kto będzie mądry, ten będzie górą!

— Wus sugt ir?... — spytał Marszeles — co znaczy „górą“?

— Co ma znaczyć! — zawołał prędko Borysower — my jesteśmy najmądrzejszy naród na cały świat! A kto ma być górą? my! a kto będzie dołem? ten co jest głupi! a kto jest głupi? nie trza wam tego powiedzieć, Marszeles! wy to sami wiecie!

— No, ja wiem...

Umilkli. Pociąg pędził wśród naszych równin co od białego Niemna pasmem szerokiem tęskniącej za przeszłością ziemi ścielą się aż w mazowieckie piaski — mijał bory sosnowe i mokre łąki i rdzawe wrzosowiska i łubinu poletka kwieciem żółtem czy niebieskiem pokryte — uciekał od chat strzesznych, co rzędami przysiadły na okrajkach borów, na karczowiznach poleśnych — toczył się żelazną wstążką szyn, wioząc w serce kraju forpoczty jego pasożytów...

I.

Pierwsza manufaktura.

Na stole nakrytym kolorową serwetą w duże desenie stały wyczyszczone, błyszczące, mosiężne siedmioramienne świeczniki, obok nich również błyszczące kubki, solniczki i oliwiarka z plateru, a na środku rżnięta szklanna karafka, w trzech czwartych nalana żółtawym przezroczystym płynem.

W cieniach przedwieczornego zmroku, ciemnawą plamą rysował się na węższej ścianie pokoju wysoki rzeźbiony kredens, szafy obszerne zajmujące drugą, dłuższą ścianę, stolik, samowarnik i kilka krzeseł, wśród których królował wysoki i szeroki, skórą czarną obity fotel.

Na fotelu siedział starzec z białą brodą i białemi krzaczastemi brwiami, z pod których patrzyła w okno para oczu wyblakłych, dużych ale pełnych rozumu i snadź kiedyś, może jeszcze niezbyt dawno, umiejących błyszczeć.

Ręce starca, wysunięte do połowy dłoni z rękawów lśniącego, jedwabnego chałata, pieściły palcami politurowane poręcze fotelu, a nogi w kozłowych,

starannie wyczyszczonych butach, spokojnie opierały się o jego podnóżek.

Cała postać miała w zewnętrznym wyrazie, nietylko twarzy ale całego ciała, pewien akcent spokoju i zadowolenia.

Ten sam akcent czuć było w całym pokoju.

Stare, starannie utrzymane meble, pewien dostatek, nie rzucający się w oczy jaskrawością form, ale znaczny w solidność wszystkiego co otaczało, dawał wrażenie, że w pokoju tym i reszcie przyległego mieszkania, widocznego przez uchylone drzwi, mieszkają ludzie, którym życie układa się w monotonną może, ale zupełnie zrównoważoną kolej, co rano i co wieczór niosącą z góry przewidziane i obliczone środki do regularnego życia.

Cisza była w tem mieszkaniu i spokój, a nie mąciły jej nawet odgłosy z podwórka, na którem tego wieczoru nie było nawet gromadki hałaśliwie bawiących się dzieci.

Dom był duży i kilkopiętrowy, z oficynami, ale mieszkali w nim sami prawie żydzi, w chwili więc rozpoczynającego się święta szabasu milkły zewnętrzne objawy ich życia, skupiało się wszystko przy rodzinnych, świątecznem jadłem zastawionych stołach.

Zegar ścienny szafkowy uderzył poważnym miarowym tonem szóstą godzinę i na dźwięk tych uderzeń starzec podniósł głowę opuszczoną lekko na piersi, wyprostował się i obejrzał.

W oknach przeciwległych jego mieszkaniu za-

błysło światło. Zrazu jedno—potem drugie wyżej — znów dwa i znów jedno zajaśniało okno.

Starzec dźwignął się z fotelu, postąpił krok naprzód, wyprostował się i uśmiechnął.

— Szabes!... szepnął do siebie.

Podszedł do komnaty, gdzie między różnemi drobiazgami leżało pudełko zapałek wziął je i potarłszy zapałkę, począł zapalać świece w świeczniku.

— Szabes!... mruczał — jeszcze jeden szabes... niech Bogu będą dzięki...

W chwili, gdy zapalał trzecią już świecę, drzwi wiodące do przedpokoju lekko się uchyliły i w niepewnem jeszcze świetle ukazał się na progu pokoju drugi żyd, wysoki, szczupły, zgarbiony nieco, ubrany starannie z brodą i włosami przypruszonemi szronem siwizny.

— A giten szabes, Morgenglansowi! — rzekł od progu.

— A giten tug, Lejzor! — odrzekł starzec — przychodzicie w samą porę, zaraz siądziemy do obiadu! Chodźcie! siadajcie!

Lejzor wszedł i uścisnął podaną sobie rękę gospodarza, potem w milczeniu usiadł pod oknem na sofie.

Morgenglans skończył zapalać świece i podszedł do drzwi uchylonych.

— Chane! — zawołał — już się świeci! czemu oni się nie schodzą?

— Zaraz przyjdą. Zaraz! — odpowiedział mu głos kobiecy — czego wy się o nich martwicie? oni przyjdą!

Starzec usiadł obok gościa.

— Moje dzieci nigdy nie mają czasu skończyć interesów przed szabasem! — westchnął.

— Wy nie narzekajcie, Morgenglanz!—rzekł Lejzor — wasze dzieci dobre są i was szanują! i do handlu oni mają wielkie szczęście!

— Ja wiem — ale one zadużo o handlu myślą.

— Co jest zadużo?

— *Zadużo* jest więcej jak prawie...

— *To wy* się o to potrzebujecie martwić? jak one będą miały trochę więcej to wam szkodzi? na majątek nigdy nie jest „prawie!“

— Majątek potrzebny jest, bardzo potrzebny jest, *ale, jak on już jest,* to należy się myślić trochę o modlitwie i o Panu Bogu?

— Ja was nie rozumiem, Morgenglans! Czy wasze dzieci nie myślą o Panu Bogu?

— Trochę za mało!

— Te! te! co jest zamało? one młode są — jeszcze mają czas? one teraz muszą pracować na swoje dzieci, na wasze wnuki! wy myślicie to mało kosztuje? one posyłają młodszy syn do szkoły i córki też do szkoły! to kosztuje!

— Bardzo dużo kosztuje!

— Tego nie potrzebno liczyć. Kosztuje? stać wasze dzieci na to? a potrzebno jest żeby się wasze wnuki uczyły, żeby mogły umieć to samo co goje umieją, żeby potem mieli dobry los i żeby im się wiodło!

— Czy wy Lejzor wasz syn też posyłaliście do szkoły na uczenie?

— Ja nie miałem w mój majątek tyle, żeby za to płacić! Ale jakbym ja miał tobym ja jego posyłał! możeby żył jeszcze do tej pory na moją pociechę — a tak zostałem sam jeden!

— Co to do tego ma! Pan Bóg tak chciał i basta! ale ja się was pytam dlaczego was rodzice nie posyłali do szkoły? wy z chederu poszliście odrazu do sklepu i ja także!

— Wtenczas tak było a dzisiaj inaczej! a może ja bym nie był stracił majątek, jakbym ja był uczony?

— A ja straciłem?

— Wyście byli od razu bogate, Morgenglans!

— Co znaczy bogate? Ja dostałem od ojca firmę i trochę towaru — może na 6,000 może na 7,000! A ja mało dorabiałem?

— Ja wiem! wy jesteście pierwszy kupiec na całe Nalewki! Wasz syn prowadzi wasz sklep, a wasze córki też mają sklepy fajn i są porządne kupcowe! was teraz stać na trzysta tysięcy! wszyscy wiedzą!

— Widzicie! a to ja dorobiłem sam, bez żadne uczenie!

To mówiąc, starzec zerwał się i zaczął chodzić po pokoju.

— Ja wam powiem, Lejzor — zaczął znowu — że świat teraz całkiem się przewraca! Wszystkie żydy teraz tylko o tem myślą, żeby mieć duże, ładne sklepy na pryncypalne ulice, z lustrami, z kanapami,

ze złoconami szafami! im nie dosyć teraz handlować tu, na Nalewki, gdzie tyle lat handlowały ich ojce i dziadki! one chcą zaraz siedzieć na Teatralny Plac na Marszałkowskie, na Nowy-Świat!

— Dlaczego oni tego nie mają chcieć?

— Oj Lejzor! wy się pytacie? wy jesteście jak małe dziecko!

— Dlaczego?

— Bo wy nie rozumiecie, że nasz handel stąd wyszedł, tutaj urósł i tu powinien zostać! Przez tyle lat chodzili do nas kupować tutaj i dobrze było! a jak żyd wynosi się stąd w nowe dzielnice, to zaraz przestaje być żydem! On zdejmuje chałat i kładzie surdut! on niema czasu się modlić, to un potrzebuje iść do kawiarni pokazać jakie on suknie kupił swojej żonie! on wydaje dużo pieniędzy, żeby być taki sam jak jest goj, a potem jemu djabli biorą! Co to?..

Zatrzymał się przed stołem.

— Świeca zgasła?? dlaczego ona zgasła? — mówił, patrząc na świecznik. Dymiła na niem istotnie jedna ze świec knotem, który zagasł nagle.

— Od czego ona zgasła? — pytał Lejzora.

— Zgasła? potrzebowała zgasnąć!

— Ale od czego?

— Może z wiatru... może knot był zły... co wielkiego że zgasła?

Morgenglanz obtarł knot palcami. Kiwał głową.

— Niedobrze jest jak świeca w szabas gaśnie... —mruczał, zapalając ją na nowo.

W tej chwili w przedpokoju odezwały się zmieszane głosy i do pokoju weszło parę osób.

Pierwsza weszła kobieta średnich lat brunetka o wybitnych rysach semickich, ubrana w czarną, jedwabną suknię prowadząc młodą siedemnastoletnią może panienkę, widocznie córkę, ubraną w jasną bluzkę. Była to pani Chana Morgenglans, synowa starego Morgenglasa a żona Chaima Morgenglans, szefa firmy tego nazwiska. Stary Morgenglans od kilku już lat usunął się od handlu, oddawszy dzieciom majątek i dożywał lat swoich w domu, w którym się wychował i który stał się z czasem jego własnością. Na dole był sklep. Wielki skład perkalików i płócien, największy na Nalewkach i egzystujący już od kilkudziesięciu lat. Na czele interesu stał właśnie syn, pan Chaim Morgenglans, który w tej chwili wszedłszy za żoną i córką do pokoju witał się z ojcem i gościem stałym rodziny, Lejzorem.

Stary, witając dzieci i wnuki — za panienką bowiem weszło jeszcze dwóch chłopców, z których jeden młodszy w mundurku szkolnym — rozpromienił się i zapomniał snadź o uwagach dopiero co Lejzorowi zwierzonych.

Zapomniał nawet i o świeczce która zgasła z niewyjaśnionego powodu.

Służąca poczęła wnosić półmiski z rybą, gęsiną i „łokszyną“ na smalcu i postawiła na stole wazę ze słodkim barszczem, od którego rozpoczynano szabasowy posiłek.

— Gdzie jest Chaskiel? — spytał nagle stary Morgenglans — czemu on nie przychodzi?

— Ja jego posłałem do banku wykupić weksle —odpowiedział Chaim — on zaraz przyjdzie.

— On się zawsze tak długo bawi! on musi wszystko obejrzeć po drodze!

— Nie szkodzi w handlu! — rzekł z uśmiechem Chaim. — Ty, ojciec, nie byłeś już ze cztery lata w mieście nigdzie po za Nalewkami, ale twój wnuk młody, ciekawy jest! on umie patrzeć i musi zobaczyć wszystko! to potrzebne jest w handlu! ale on już idzie! o!

Istotnie w drzwiach ukazał się oczekiwany wnuk Morgenglasa. Osiemnastoletni chłopiec o bystrych oczach, sympatycznej i niebrzydkiej twarzy, ubrany w długi, czarny surdut.

— A giten szabes, dziadku! — zawołał od progu i szedł się witać do stołu.

— Aj! czemu ty tak długo siedzisz między te goje! — zaczął stary Morgenglans — modlitwa czeka, szabes czeka...

— Nie ucieknie!

— Nie potrzebuje ucieknąć! ale pora jest...

— Co znaczy pora? wy, dziadku, myślicie tylko, że pora jest jeść rybę i gęś! ale ja wam powiem coś takiego, co wy nie będziecie chcieli patrzeć ani na rybę, ani na gęś, ani nawet na tę łokszynę!

— Co ty mnie powiesz? Co ty mnie powiesz, Chaskiel?

— Ja wam powiem, co ja widziałem, to was zaraz tak zakręci we środku jak mnie zakręciło tam na ulicy!

— Co ciebie potrzebowało zakręcić? Chaskiel gadaj! — rzekł Chaim.

— Tate był dzisiaj na Bielańskie ulice?

— Poco ja tam miałem być! ja tam nie miałem żaden i nteres.

— A ja byłem?

— Po co ty byłeś?

— Ja szedłem z banku!

— To co jest? ja także tamtędy chodzę z banku!

— O ty znasz tatele ten dom Kirnensafta przy rogu Długiej?

— Kto nie zna ten dom! ty, Chaskiel, mów wyraźnie, co ty widziałeś w ten dom?

— Ja widziałem — szyld!

.— Szyld? co jest szyld?

— A dziadek nie wie co to jest — manufaktura?

— Manufakture?.. Wus hojst manufakture?— pytał stary Morgenglans oglądając się po obecnych.

Ale Chaim Morgenglanz przybladł nieco i, wstawszy, podszedł do syna.

— Słuchaj Chaskiel! — rzekł — ty mów, bo, mnie już kręci w dołku! ja nie będę mógł jeść szabes! Ty widziałeś szyld od manufakture??

— Widziałem!

— Na ten dom?!! — zawołał Chaim, nachylając się.

— Na ten dom! duży, niebieski szyld a na nim z białemi literami napis „Skład moskiewskie manufakture...“

— Ujjj! a wej mir! — zakrzyknął Chaim, chwytając się za głowę — pierwsze manufakture!. już jest!!

— Wus ist? — pytał stary wystraszony — wus hojst a manufakture???

Ale przez chwilę milczeli wszyscy.

Chaim usiadł ciężko i, opuściwszy głowę na dłoniach, jęczał z cicha jakby go zabolały zęby.

— Wus hajst dust?... Chaim! Chaimleben! sug mul... dopytywał wciąż stary.

— Ja dziadkowi powiem! — rzekł Chaskiel — czy dziadek wie co to jest protest?

— Dlaczego nie mam wiedzieć?...

— A co jest — superewizje?

— Ujjj! Chaskielleben! czy one ciebie chcą wziąć?...

— A czy dziadek wie, co jest—a cholere?

— Chaskiel!! ty nie mów takie słowo!! — zerwał się stary — to niewolno jest wymówić!

— Ja jeszcze więcej powiem! manufakture to jest protest i superewizje i cholere razem! to jest jeszcze więcej od tryf!! dziadek teraz wie?...

Ale dziadek upadł na fotel z płaczem.

Wszczął się lament i rwetes. Długą chwilę trwało, nim udało się Chanie, Lejzorowi, Chaimowi i dzieciom uspokoić starego.

Nareszcie przestał jęczeć i drżąc jeszcze począł rozpytywać.

Chaim tłómaczył.

— Manufakture to jest największa konkurencja dla nas! — mówił. — To jest śmierć na nasz handel! to są towary sprowadzone z Moskwy, co je kupować będą wszyscy, a nikt nie zajrzy do nas!

— Jakie towary?

— Perkalikies! płótno! a tkaninas!

— Co? ten goj będzie handlować z naszym towarem!!! — zaperzył się stary.

— To nie jest goj — rzekł Chaskiel — on się nazywa Sokołowicz i un jest ruski żyd! z Kurska!

— Un jest żyd? i on tu zakłada konkurencję dla nas? to nie może być!...

— To jest. On się nie pyta nic na inne żydy. On będzie handlować osobno!

— Dlaczego?

— Bo on potrzebował dostać taki towar, jaki my nie mamy! i on bierze wprost z fabryki — on nie handluje na swoje ryzyko tylko dla fabryki!

— Dla goje?

— Dla ruskie kupcy. Oni jemu dali towar i dali pieniądze na sklep. Na całe Nalewki nie ma taki sklep, jak będzie to manufakture!

— To jest niewolno!! na Nalewki od handlu z perkalikiem jestem ja, Morgenglans!

— Sokołowicz sze na to śmieje!

— Un się śmieje? Dlaczego un się śmieje?!! Kto jemu pozwolił się śmiać?

— Un sobie sam pozwala na wszystko. Ja się pitałem na niego, ja się wszystko dowiedziałem!

— Co ty się dowiedziałeś?

— Ja się dowiedziałem, co on przyjechał przed miesiącem i najął zaraz sklep. On zapłacił czynsz za rok z góry, a zrobił kontrakt na 6 lat i swoim kosztem robi przebudówkę. Ja uważałem, że tam coś robią, ale okna były zamazane z wapnem, to ja nie mogłem widzieć co. Mówili apteka będzie. No,

apteka to nie jest nasz interes! a dziś to uni potrzebowali zawiesić szyld!

Zapadło długie milczenie.

Do jadła nie miał ochoty nikt.

Stary Morgenglans siedział i, przymknąwszy oczy, rozmyślał widać głęboko. Czoło pofałdowało mu się zmarszczkami.

Reszta rodziny strwożona i zasmucona patrzyła na swego patrjarchę, oczekując jakiejś rady, decyzji.

Zwyczaj nakazywał oczekiwać na to słowo. Zresztą—sklep, firma, majątek — były właściwie jego. On powinien znaleźć radę i odsunąć tę groźbę, która wisiała nagle na horyzoncie pomyślności i powodzenia całego interesu i całej rodziny.

Wśród milczenia, jakie zapanowało, słychać było tylko miarowe tykotanie zegara.

Wreszcie stary Morgenglans podniósł głowę.

Wyblakłe jego zazwyczaj oczy, błyszczały teraz jakąś iskrą dawnego ognia, który wydobyła z jakiejś komórki duszy zasklepionej czasem — nagła potrzeba chwili.

Spojrzał po obecnych z pod nastroszonych siwych brwi i uderzył ręką w stół.

— A soj! — rzekł — dzisiaj szyld zawiesili, to jutro go zdejmą! Jutro idę do naszego rabbi!

II.

Pierwsza litwacka „asymilacja“.

W mieszkaniu zastawionem różnemi, na prędce rozpakowanemi widać sprzętami, w którem znać było przeprowadzkę i świeże z jakiejś dalekiej strony przybycie — siedział Gabryl Abramowicz Sokołowicz, zarządzający hurtowym składem moskiewskiej manufaktury, świeżo otwartym przy ulicy Bielańskiej.

Był to mężczyzna lat czterdziestu kiiku, z czarną brodą, przeplecioną już paru białemi nitkami, z twarzą śniadą, z której patrzyła się para czarnych, iskrzących się i przenikliwych oczu.

Siedział na wiedeńskiem wyplatanem krześle przy stole, na którym stał talerz z resztką niedojedzonej wieczerzy, chleb i szklanka herbaty.

Leżał przed nim wielki arkusz „Torgowo-Promyszlennoj Gazety“, z której wynotowywał jakieś cyfry w notesie.

Skończył notować, odłożył książeczkę, wstał i, zajrzawszy do kredensu, wydobył z niego butelkę z rumem, wlał sobie do herbaty łyżeczkę trunku

i schował butelkę nazad do szafy, usiadł znowu i zaczął pić delektując się.

Wtem zapukano do drzwi.

Pan Sokołowicz podniósł głowę, posłuchał przez chwilę, podszedł do drzwi i otworzył z klucza.

— A giten tug!.. — ozwały się poważne głosy.

Sokołowicz, nieco zdziwiony, cofnął się odpowiadając na powitanie i wpuścił do pokoju dwóch żydów. Byli to stary Morgenglans z synem.

Przybyli, zaproszeni do zajęcia miejsca, usiedli, oglądając się, jakby z pewnym przymusem i zapytani o powód wizyty wymienili swoje nazwiska.

— Ja jestem Morgenglans — mówił stary — Izaak Morgenglans z Nalewek! stary Morgenglans! a to mój syn, Chaim! to teraz wy, panie Sokołowicz, chyba wiecie, po co my przyszli?

— Skąd ja to mam wiedzieć?

— Jeżeli ja się nazywam Morgenglans, a to jest mój syn, to jaki my mamy do was interes?

— Ja wiem? Może wy potrzebujecie sprzedać dom, albo kupić partję jakiego towaru...

— Jakby my potrzebowali sprzedać dom, to kupiec na ten dom musiałby przyjść do nas! a jakby my chcieli kupić partję towaru, to by my przyszli do sklepu...

— Nic nie szkodzi! mój sklep jeszcze nie otwarty, to interesanty mogą przychodzić do mieszkania!— trafi się!

Morgenglans poruszył się niespokojnie.

— Słuchajcie Sokołowicz! my właśnie wedle tego sklepu do was przyszli...

— Z obstalunkiem?

— Oj, jaki z was gorący kupiec! jeszcze sklep nie otwarty, a wy już chcecie robić obstalunki!

— U nas tak idzie! interes robi się zawsze i wszędzie! po co sklep? sprzedawać i kupować można bez sklepu?

— To po co wy potrzebujecie otworzyć ten sklep?

— Jakto po co? po to żeby robić interes ciągle — żeby nie było potrzebno szukać mnie, tylko iść do sklep! Jak jest sklep to w nim są prykaszczyki i oni za mnie robią dużo interesów — a dziesięć ludzi zawsze więcej sprzeda i zrobi jak jeden człowiek!

— A ja myślę, że taki właśnie jak wy Sokołowicz, z takim delikatnym rozumem nie potrzebuje żaden sklep! wam potrzebne jest w duże miasto siedzieć, w stolicy, w Moskwie albo w Petersburgu i robić same duże interesy!

Sokołowicz przeciągnął się na krześle.

— Ja i tak robię same gromadne interesy! — rzekł — ja i tu zakładam taki właśnie interes!

— Tu jest biedne miasto! ludzie całkiem gołe! wy tu nic nie zrobicie!

— Ja zobaczę!

— Po co wy chcecie zobaczyć? Tu jest tylko drobny handel! tu niema miejsca na hurt! kto wam zapłaci za waszą stratę? kto zwróci koszta, co wy je wyłożycie na taki nowomodny sklep z lustrami, z dużemi oknami?

— Fabryka!

— Jaka fabryka?

— Moskiewska manufaktura!

Morgenglans spuścił głowę i umilkł. Po chwili zaczął znów.

— Wy, Sokołowicz, macie dzieci?

— Dlaczego ja nie mam mieć? czy to ja jestem jaki łajdak? ja mam dużo dzieci! Aj! jakie to są dzieci!

— Adukowane?

— Czemu nie mają być edukowane? one są w szkołach! w najpierwszych szkołach na całą imperję!

— To jak one są w takich szkołach, to gdzie wy je tu będziecie uczyć? tu niema takie szkoły.

Sokołowicz uśmiechnął się.

— A kto wam powiedział, że one tu się będą uczyć? po co one tu mają przyjeżdżać, kiedy one tam już są w szkołach i to w najlepszych?

— To wy je tam zostawicie?

— A gdzie je mam zostawić?

Chaim Morgenglans poruszył się teraz. Zaczynało go już nużyć to krążenie dokoła palącej kwestji, którą ojciec jego obchodził wciąż. Gorętszy był.

— Kiedy wy odkryjecie ten sklep?—zapytał.

Sokołowicz spojrzał nań, przymrużając oczy.

— Może za tydzień, może za miesiąc — rzekł zwolna, — dlaczego wy jesteście takie ciekawe na ten sklep?

— Dlaczego ja nie mam być ciekawy? — odparł szybko Chaim.

— Ja wam nie mówię, że wy nie macie być

ciekawy! czy ja to powiedziałem? Mnie tylko dziwno jest, co wy na tem możecie zarobić?

— Mnie także dziwno jest! mnie bardzo dziwno jest!! — zawołał, zrywając się Chaim.

— Ssss! Sza! — wtrącił stary Morgenglans, chwytając syna za rękaw — wus schrajst di? blajb zycen! Ja wam powiem, Sokołowicz! — mówił zwracając się do gospodarza — ja wam zaraz powiem wszystko! spokojnie bez gniewu — po co krzikać?

— Ja się nie potrzebuje bać żadne krzikanie!

— Czy ja mówię, że wy się potrzebujecie bać? niech wasze wrogi się boją! kto się boi za krzyk?

— Wy powiedzcie o co wam chodzi, panie Morgenglans!

— Ja powiem. O co może nam chodzić? O wasze zdrowie? My wam życzymy żebyście zawsze byli zdrowi! O wasz majątek? Miejcie sobie majątek! tylko żeby my za to nie potrzebowali nic stracić!

— Co wy możecie stracić, jak ja będę miał majątek?

— Co my możemy stracić?, — my nie chcemy stracić!

— Kanieczno! Kto to chce stracić?

— Ma się rozumieć — nikt nie chce. Jak niemożna zarobić, to przynajmniej nie trzeba stracić! A teraz taki czas jest, co wszystkie tracą! nie zarabia nikt! my mamy sklep z łokciowy towar, z perkaliki, na Nalewkie, to my wiemy, jakie teraz w Warszawie zarobki są! niech moje wrogi nie mają taki zarobek! Wy, Sokołowicz, w bardzo złą godzinę pomyśleliście ten wasz interes z te manufakture! w najgorszy czas!

żaden handel teraz niema tutaj! Ja się boję, że wy będziecie stracić na ten sklep!

— Wam mój sklep potrzebuje trochę przeszkodzić?

— Przeszkodzić? ja nie powiem — tak, ja nie powiem — nie! Co jest przeszkodzić? mój ojciec tu handlował z perkaliki i ja handlowałem i teraz mój syn handluje tyle lat — kto może nam przeszkodzić?

— To czego wy się boicie?

— Kto się boi? — Chaim, horste! ty się boisz?

— Ja się nie boję! — rzekł Chaim.

— I ja się też nie boję—rzekł Sokołowicz.

— Słuchajcie, Sokołowicz — niepotrzebno bać się! kto się ma boić? ani wy, ani ja, ani mój syn...

— Tak w czomże dieło?

— Jak powiadacie? ja po rusku trochę zapomniałem — mówcie po naszemu.

— O co wam idzie Morgenglans?

— Ja się was zapytam, Sokołowicz — czy wy koniecznie musicie otworzyć ten sklep?

— Co znaczy „muszę“? ja chcę jego odkryć!

— Dlaczego?

— Wy się pytacie jak dziecko! ja potrzebuję zarobić?

— Dużo!

— Dużo? ile to jest? wy się nie obraźcie, Sokołowicz, ale ja wam powiem, że to zupełnie nie wiadomo co jest dużo! dla jednego dziesięć rubli jest dużo, a dla drugiego nawet sto jeszcze za mało! wy powiedzcie — ile?

— Dlaczego ja to mam mówić? czy wy mnie będziecie to dać?

— Ja? czy wy macie mój weksel, albo hipotekę na mnie? Skąd ja?

— No właśnie! mnie się od was nic nie należy — interes nie robimy żaden — to ja nie potrzebuję wam opowiadać o mój zarobek!

— Co to szkodzi? czy ja wam go odbierę?

— Nie odbierzecie bo mnie trudno co odebrać!

— A widzicie! wy na tem nic nie będziecie stracić!

— Ale i nie zarobię nic! Wy mówcie prosto: za czem wy pryszli ko mnie? a? wy chcecie, żebym ja nie otwierał sklepu?

— Dlaczego my mamy chcieć wasze nieszczęście?

— Żeby moje wrogi mieli takie nieszczęście! wy mnie nie tłómaczcie! jak skoro ja zdecydowałem, że w Warszawie potrzebno jest odkryć taki sklep, to on będzie odkryty!

— Oj, waj! czy tylko jedne Warszawe jest na świecie? dlaczego wy nie możecie gdzieindziej to zrobić?

— Bo ja chcę tu. Ja wiem, że gdzieindziej w Rosji mogłoby być lepiej, ale nie jest. Jest nawet gorzej. Wyście tam nie byli, a ja stamtąd przyjechałem. A dlaczego ja przyjechałem stamtąd? Bo tam żydków gnębią! bo mnie stamtąd wigoniają! To gdzie ja mam jechać? Tam gdzie można spokojnie zarobić! a gdzie można spokojnie zarobić? w Polszy!

w Warszawie! Teraz wiecie dlaczego ja tu odkrywam sklep z manufakture?

— Ja widzę co wam się zdaje Sokołowicz, co wy mieliście bardzo dobre pomyślenie — a wasze pomyślenie niedobre jest!

— Za co niedobre?

— Najpierw za to, że wy myślicie, iż tu są duże zarobki! a tu są małe zarobki! co znaczy małe? tu wcale nie można zarobić! tu nie ma za co żyć!

— Poprobujem!

— Wy jesteście uparte! a ja wam powiem jedno słowo, to wy zmiarkujecie na wasz delikatny rozum, że wam nie wolno być uparte!

— Jakie to jest słowo?

— Hazówkie!

— Hazówkie? ja nie wiem co to jest! u nas niema hazówkie!

— Jakto niema? co znaczy „u was“?

— U nas, w Rosji!

— Aj, co wy gadacie! czy talmud jest pisany dla rosjan? talmud jest dla nas, dla żydków!

— To co z tego?

— Jakto co? hazówkie jest nasze żydowskie prawo.

— Ja nie znam to prawo! co to jest za prawo?

— To jest takie prawo, że jak gdzie jeden żyd handluje z czem, to drugi nie może mu robić podryw! mnie bardzo dziwno, że wy tego nie wiecie! to jest między żydki na cały świat!

— U nas to nie jest! Każdy robi, co chce!

— To bardzo źle jest!

— Chwalić Boga, my się nie skarżymy!

— Ja nie powiem nic, ja nie wiem, ja nie widziałem jak jest w Rosji, ale tu u nas, w Warszawie, hazówkie jest!

— Niech sobie będzie! czy ja mówię, żeby nie było?

— Wy nie mówicie, ale wy robicie, Sokołowicz!

— Co ja robię?

— Podryw, wy nam robicie podryw?

— Komu ja robię podryw?

— Mnie! nam! całe nasze rodzine! siedemdziesiąt dwa lat my handlujemy z perkaliki i nikt nigdy nie otwierał tu sklep z ten towar bez moje pozwolenie!

— To ja odkryję!

— Wy nie zrobicie to?

— Dlaczego?

— Bo ja wam nie pozwolę!

— Czy wy jesteście oberpolicmajster, Morgenglans?

— Na perkaliki to ja jestem!

— Ładno! A gdzie jest wasze kancelarje?

— Jakie kancelarje?

— Oberpolicmajster ma swoje kancelarje! a może wy jesteście inspektor akcyzny? może u was potrzebno wykupić świadectwo? a może wy jesteście kaznaczejstwo? to ja u was kupię gildję!

Morgenglansowie obaj, ojciec i syn, poczerwienieli z gniewu. Spostrzegli, że ich ziomek przybyły

„z Rosji“, a właściwie z Litwy — kpi z nich żywwe oczy.

— Wy nie żartujcie, Sokołowicz!— rzekł Chaim basem.

— Ja żartuję? to wy potrzebujecie żartować! Co jest? przychodzicie do mnie, pierwszy raz w życiu widzę was na oczy i mówicie mi: Sokołowicz, ty nie odkrywaj sklep z manufakture! dlaczego? ja się pitam dlaczego? z jakiem prawem? Dlatego, że wy sto lat handlujecie na perkaliki, to ja nie mam handlować na manufakture? Za co? To jak wy jadacie obiad i wieczerzę, to mnie już niewolno jeść? i to jak się nazywa? hazówkie!.. a mądre prawo! hazówkie!! czemu wy nie wniesiecie tego prawa do Gosudarstwiennoj Dumy? Gdzie ono stoi napisano takie prawo?

— Jakto gdzie?! w talmud!

— Wy nie bądźcie dziećmi! co jest talmud! Talmud to jest do modlenia! to może być do czytania, jak kto niema nic do roboty i potrzebuje dużo myśleć! ale kto robi interes na talmud? Czy talmud jest to interes?

Morgenglansowie wstali.

— My to nie możemy słuchać! — zawołał stary, trzęsąc się. — Wy Sokołowicz mówicie straszne rzeczy! my przyszli żeby się pogodzić! my nie możemy pozwolić, żebyście wy odkrywali nowy sklep z nasz towar, w nasze dzielnice! Ale jak wy nie chcecie słuchać naszej zgodnej mowy, to my wam powiemy co innego!

— Co wy powiecie?

— My was wzywamy przed rabina! na sąd! niech rabin powie, czy wy macie prawo odkrywać ten sklep!

— Jaki rabin?

— Hörste? on się pita jaki rabin? Jaki ma być rabin? Nasz rabin! warszawski rabin! on niech nas sądzi!

— Ja jemu nie znam—ja nie wiem czy on jest rabin?

— Co??! wy nie znacie rabina?

— Ja znam rabina, mojego!

— Gdzie on jest, wasz rabin?

— Gdzie ma być? w Mińsku!

— Wy tu u nas odkrywacie sklep, to musicie stanąć przed naszym rabinem!

— Ja nie potrzebuję! mój rabin mieszka w Mińsku! Ja tam będę za miesiąc, to, jeżeli chcecie, możemy do niego iść!

— My was wzywamy przed naszego rabina!!

— Ja nie mam żaden interes do wasz rabin! ja jemu nie znam!

Morgenglansowie trzęśli się. Zmiarkowali, że nie wskórają nic. Stary zwrócił się do wyjścia, stukając wściekle laską w podłogę.

— Kim, Chaim! dus is a szwarc jur! wy jesteście — litwak!!! — zawołał stary, ujmując za klamkę.

— Jo! jich bin a litwak!!! to co?

Wyszli.

Sokołowicz spokojnie zamknął drzwi na klucz i położył się spać.

Upłynęło parę dni.

W mieszkaniu Morgenglansa odbywały się w ciągu tych paru dni ustawiczne narady. Stary Morgenglans, Chaim, młody Chaskiel, stary Lejzor wszyscy trzęśli się z oburzenia na Sokołowicza.

Stary Morgenglans był u rabina. Opowiedział mu wszystko.

Rabin długo myślał w milczeniu, w końcu rzekł:

— Ja nie poradzę nic... jak on do mnie nie chce przyjść i na mój sąd się zdać...

— Ja jemu zwrócę koszty na ten sklep! — zawołał Morgenglans.

Rabin potrząsnął głową.

— To nie jest żaden interes! ile wy mu możecie dać? Za koszty dacie może trzy, może pięć tysięcy — za jego stracone korzyści może tysiąc, może dwa, no! może trzy...

— Ja dam dziesięć!

— Wy możecie dać piętnaście i dwadzieścia! on nie weźmie...

— Za co nie weźmie?

— Bo to jest taki interes, co on w jeden rok może zarobić więcej...

Morgenglans chwycił się za głowę.

— To my tyle musimy stracić? wszystko co on zarobi, to przecie nasza strata jest!

Rabin założył ręce.

— Ja nie poradzę nic... on nie chce przyjść...

— Wyklnijcie wy go jeszcze rabbi!

— To co? on pójdzie do swojego rabina i tamten jego odeklnie! i będzie wszystko— git!

Morgenglans wrócił do domu zrozpaczony.

Trzeci dzień już siedział w swoim pokoju, jęcząc i rozpaczając, mało jedząc i śpiąc. Cała rodzina chodziła jak struta. Groźba ciężka i dojmująca zawisła nad całą świetnością i dobrobytem domu Morgenglans.

Ale czwartego dnia do starego Morgenglansa przyszedł Mordke Marszeles, znany w całej dzielnicy pośrednik do różnych delikatnych większej wagi interesów.

Mordke Marszeles był człowiekiem znanym ze swej obrotności i wielkiego rozumu. Miał rodzinę dużą, majątku nie miał żadnego. Ale mieszkał na Twardej ulicy na drugiem piętrze od frontu, zajmował pięć pokoi i płacił za nie regularnie 850 rubli. Jego żona i córki stroiły się w drogie suknie i w szabas chodziły do teatru na Muranów. Jedną córkę wydał zamąż i zięciowi otworzył sklep z tytoniem— duży porządny sklep na Grzybowskiej. Syn starszy ożenił się z córką bogatego właściciela domu z Krochmalnej i robił interesy razem z ojcem.

Marszeles nie miał majątku, ale jak jaki pewny kupiec chrześcianin potrzebował na parę dni, albo na parę tygodni paru tysięcy rubli — Marszeles dawał zawsze. Mówił, że pieniądze nie są jego i że byłby w strasznem położeniu, gdyby mu dłużnik chybił w oddaniu na umówiony dzień i godzinę.

Więc zawsze oddawali mu. A jeżeli kto nie mógł oddać, to Marszeles nie wieszał się i nie szedł do kryminału, tylko brał od niego dług towarem. Robił to przez grzeczność. .

Marszeles znał wszystkich i u wszystkich bywał. Morgenglans robił z nim czasem interesy, kupował towar wzięty za dług, dawał mu informacje co do kupców, którym można pożyczyć.

Teraz Morgenglans, zobaczywszy Marszelesa, pokiwał tylko głową i w odpowiedzi na powitanie rzekł mu smutnym głosem:

— Jeżeli macie jaki towar na zbycie, to idźcie prędko do ten ganef Sokołowicz od te manufakture... żeby ona przepadła! niech on od was kupi!

— Dlaczego on?

— A kto ma kupić? czy my możemy teraz kupić jaki towar? Komu my jego sprzedamy?

Marszeles pokiwał głową.

— Wy macie rację, Morgenglans! — rzekł — to jest nieszczęście! ale ja do was przychodzę nie z towarem tylko z inną rzeczą.

— Z jaką rzeczą?

— Ja myślałem długo o te manufakture i wymyślałem tak: te manufakture to wcale nie powinno u nas być! ale jak ona już jest, to trzeba żeby ona była w naszych rękach! po co ma mieć taki ganef Sokołowicz?

— Jak wy jemu ją będziecie odebrać?

— Ja mu jej nie będę odebrać. On ją wam będzie dać.

— Komu?

— Wam.

— Nam? z jakim sposobem?

— Ja wam powiem. Ja powiem odrazu, bo to

potrzebno zrobić prędko. Jak my nie zrobimy, zrobi kto inny.

— To mówcie prędko! Co to jest?

— Wy, Morgenglans, macie wnuczkę?

— Dlaczego nie mam mieć? mam! i jeszcze jaką wnuczkę? Ona edukowana jest, jak szlachcianka!

— Ile ona będzie mieć posag?

— Posag? to potrzebno wiedzieć do jaki interes!

— No — do manufakture!

Morgenglans skoczył na równe nogi.

— Co!? dla ten ganef!?

— Niech on sobie będzie ganef! un jest bogaty ganef! un ma syna w uniwersytecie! tsss! tsss! jaki to jest syn!

— Ile on jemu będzie dać?

— Nic. Całkiem nic. On jemu będzie zrobić spólnik do cały interes!

— Do ten sklep?

— Do sklep i do inne jeszcze rzeczy?

— Ile to jest.

— Nie powiem dużo — nie powiem mało; może to jest dwieście tysięcy, może sto osiemdziesiąt. Ile wasza wnuczka może w ten interes dać?

Morgenglans zamyślił się.

— Ja muszę posłać po syna — rzekł — on ojciec, on musi przy tem być.

W godzinę potem Marszeles żegnał się z obu Morgenglansami.

— Ja idę prosto do niego — mówił — ja jejestem pewny teraz, że ja za miesiąc będę na wese-

lu waszej wnuczki i Sokołowiczowego syna! to będzie najlepszy i największy interes na całe Nalewki! pomyślcie tylko: moskiewskie manufakture i wasz sklep!! to jest — miljon! a czy wiecie, co jest miljon? to jest najmocniejsze słowo na cały świat! jak wy powiecie: miljon! to czapki ludziom same spadają z głowy! i ja zrobię, że wy będziecie mogli to powiedzieć! Ja będę to chciał zrobić za siedemdziesiąt, może za osiemdziesiąt tysięcy — ale jak on się uprze na sto, to wy musicie dać! tu idzie o cały wasz interes!

— Wy zróbcie żeby było dobrze! jak on się będzie upierał, to wy jemu powiedzcie, że wy macie drugie partje, jeszcze lepsze dla mojej wnuczki!

— My damy dziewięćdziesiąt tysięcy — rzekł Chaim—ale niech on weźmie Chaskla na prykaszczyka, niech jemu da też zarobić!

— Siojn git! już ja będę wiedział jak jemu mówić! Blajt gesind!

Marszeles wyszedł.

W tydzień po tej rozmowie w domu Morgenglansów obchodzono zaręczyny panny Gitli Morgenglans z panem Albertem Sokołowiczem.

Pierwsza litwacka manufaktura zasymilowała starą nalewkowską perkalikową firmę!

III.

Sara Mandelbrust w tylnym pokoju za swoim pięknym sklepem „Gotowej damskiej i dziecinnej bielizny“ przyjmowała od pracownic robotę.

Cały zastęp szwaczek starszych i młodszych, brzydszych i ładniejszych, ubranych dostatniej lub biedniej oczekiwał swojej kolei. Jedna za drugą podchodziła do szerokiej lady i kładła na niej stos uszytej bielizny.

Sara Mandelbrust oglądała każdą sztukę po kolei. Brała ją w rękę i wprawnemi palcami badała szwy, przewracała niektóre sztuki na wywrót, aby lepiej przekonać się o wykończeniu. Niektóre odrzucała na bok sarkając.

— To jest szycie? — mówiła właśnie do młodej przystojnej dziewczyny, o śniadej twarzy i czarnych płonących oczach, — to jest szycie? Panna fastryguje tylko zamiast uszyć! Ja nie mogę te czepeczki przyjąć! Kto to kupi?

— Niech pani odłoży — ja spruję i poprawię...

— Co panna poprawi? co tu można poprawić? to nic nie jest warte... to trzeba uszyć całkiem na

nowo! to jest źle przykrojone! Panna nie żałuje materjału!

— Nie można robić takich małych — tego nawet nie można dobrze uszyć...

— Co znaczy „nie można"? wszystko można! tylko pannę nic nie obchodzi materjał! a dlaczego? bo ten materjał jest mój! to można z niego krajać, ile się chce! Ja teraz każę wszystkie sztuki przykrawać tutaj w sklepie! materjału w sztukach nie będziemy dawać!

— Przecież wyliczone jest, ile czego ze sztuki mamy oddać — żadna dla siebie nic nie weźmie...

— Wszystko jedno! Wyliczone! co znaczy wyliczone. My mamy swoje wyliczenia, a panny macie znowu swoje! Ja za te czepeczki nie mogę nic zapłacić!

— Nic? to jakże będzie?...

— Co ma być? zapłacę za inne szycie!

— A czepeczki?...

— Zostaną tu na auszus... jak się je w sklepie sprzeda, to panna dostanie.

— To mnie dziś strasznie mało wypadnie...

— Sześć złotych.

— Tak potrzebuję pieniędzy... trzewiki muszę kupić...

— Trudno! kupi panna kiedyindziej... zresztą czy to jest moja rzecz? bierz panna kartkę!

Wprawną ręką na karteczce, wyrwanej z bloku, napisała cyfrę. Smutną, biedną cyfrę— 90 kopiejek...

— Niech panna idzie do kasy... zapłacą!

Dziewczyna odeszła wolnym krokiem do sklepu.

W sklepie, w głębi przy drzwiach wejściowych była budka kasowa, a w niej stary, zgryźliwy, siwy żyd trzęsącemi się rękami o zakrzywionych palcach liczył wypłacane szwaczkom pieniądze.

Był to Mendel Mandelbrust, ojciec Sary.

Sklep był jego własnością, ale rządziła w nim i uważała go za wyłączną swoją własność Sara. Mendel Mandelbrust był dziwnym typem marzyciela, w którym ni stąd ni zowąd, nagle, w pewnych odstępach czasu, budziły się instynkty drapieżne właściwe jego rasie.

Ożenił się niegdyś, a właściwie ożeniono go z energiczną i przystojną dziewczyną, która wniosła mu znaczny posag. Ale Mandelbrust był talmudystą i sprawy pieniężne wówczas nie obchodziły go wcale. Domem zaczęła rządzić żona, nie mieszając się jednak jeszcze do zarządu majątkiem. Ale kiedy po pewnym czasie przekonała się, że mąż jej poprzestaje na odliczaniu procentu od kapitału, umieszczonego w banku, o mało nie zalała jej żółć. I było z czego.

Taki kapitał, taki pieniądz, przeszło dwadzieścia tysięcy leży sobie w banku, a oni tylko niewielki procent z tego mają!

Nie! to przecie nie może być! to jest poprostu grzech! Pani Mendlowa, jako się rzekło, była kobietą energiczną. Weszła do izby, w której Mendel, jej małżonek ślęczał nad księgami, i chcąc zwrócić jego uwagę na siebie, wylała mu na głowę szklankę wystygłej kawy, niedopitej przy śniadaniu przez Mendla.

Dalszy ciąg konferencji był nietyle już gwałtowny, ile obfity w następstwa.

Pani Mandelbrust zarząd finansowy objęła na wyłączną własność. Wkrótce potem odbyła się narada familijna jedna, druga, trzecia, — a potem pani Mandelbrust pod firmą swego męża, na wszystko się zgadzającego, otworzyła wielki skład gotowej bielizny damskiej i dziecinnej, do którego towaru dostarczały miejscowe szwaczki, szyjąc go z materjału udzielonego im przez sklep. Interes szedł od początku bardzo dobrze dając przeciętnie około 30 procent zarobku.

Mendel siedział nad książkami jak dawniej, żona rządziła wszystkiem, prowadziła sklep i prowadziła go dobrze. Mendel od czasu do czasu przychodził do sklepu i chciał się mieszać do interesów. Działo się to zawsze wówczas, kiedy usłyszał brzęk liczonej monety, albo zobaczył pieniądze. Elektryzowało go to ogromnie i zaraz się przysuwał do kasy. Żona nie bardzo była temu rada, ale pewnego razu zachorowała i mąż musiał stanąć za nią w sklepie.

Od tego czasu już został. Sklecono mu w głębi małą budkę kasową i siedział tam, czytając książki, budząc się z zadumy dopiero wówczas, kiedy stanął przed nim klijent z banknotem w dłoni.

Kiedy po śmierci matki Sara zajęła jej miejsce w prowadzeniu sklepu i interesów, ojciec jej po dawnemu pozostał w kasie, z której jednak dzienne obroty co wieczór zabierała córka, dysponując funduszami zupełnie samodzielnie. Ale dysponowała dobrze i interes szedł, a stary Mandelbrust, jak dawniej

tak i teraz, siedząc w kasie, kombinował na swój prywatny dochód różne obrywki od uskuteczniany ch wypłat.

Był łakomy na grosz i miał rozliczne sposoby zdobywania drobnych kwotek. Od wypłat szwaczkom brał procent. Nie trzeba myśleć, że procent to jest dużo. To czasem jest bardzo mało, nawet jeszcze mniej niż mało. Co taka szwaczka może zarobić dziennie? rubla! więcej? to trudno bardzo. No powiedzmy — dziesięć złotych.

To ile od tego można wziąć procentu?

Państwo się zdziwią, jak ja powiem: jeden grosz od rubla!

Czy to jest dużo?

To nie jest nic. To jest pół procent. A co jest pół procent? to jest jeszcze mniej jak jeden procent. A kto bierze jeden procent? Kapcan, albo wielki pośrednik. Mendel Mandelbrust nie jest żaden faktor, bo niema z czem faktorować. A kapcan też nie jest. To co on jest, jeżeli bierze tak mało? On jest dobroczyńca! Tak jest. Bo mógłby brać więcej, choćby tylko jeden procent, ale on jest delikatny i nie chce.

Tylko głupie szwaczki nie umieją tej delikatności ocenić.

One powiadają, że to jest wyzysk.

Słyszeliście państwo? Śliczne słowo, wyzysk! kto jego wymyślił, żeby nigdy nic od nikogo i na niczem nie mógł zyskać! Co to jest wyzysk? Czy Mendel Mandelbrust bierze za darmo? On przecie daje pieniądze. Że się należy za robotę? no, to jest

prawda, przecie on nie mówi, że się nie należy! czy on to mówi? ale on mógłby wyjść z kasy, mógłby mieć akurat jakiś pilny interes na mieście w tej chwili, kiedy szwaczki przychodzą, a on niema interesu, nie wychodzi, siedzi w kasie i czeka na dziewczyny, przychodzące po wypłatę.

Czy to nie jest specjalna delikatność?

On mógłby nie mieć drobnych do wypłaty — a on zawsze ma drobne dla szwaczek.

Czy to nie jest warte grosz od rubla?

To jest warte pięć kopiejek. Tylko on jest człowiek delikatny i dobroczyńca, więc on bierze tylko pół procent.

On sobie to odbija na klijenteli.

Przychodzą tacy państwo co kupują wyprawkę dziecinną. Kupują za dwadzieścia, trzydzieści rubli. Przy płaceniu w kasie Mendel wydaje resztę ale brak mu jest dziesiątki czasem tylko trojaka. Czasem się tak zdarzy, że akurat niema. To on prosi, żeby państwo było łaskawe poczekać. Posyła zmienić. Ale państwo zwykle jest niecierpliwe i wychodzi, mówiąc, że odbierze za drugim razem.

A czasem się zdarzy, że czeka. To akurat wtedy nigdzie nie można zmienić pieniędzy. Klijent czeka, nareszcie pójdzie. Bardzo dobre są także fałszywe złotówki, ruble, półruble. Złotówkę, dwudziestokopiejkówkę łatwo wsunąć gojom w większej sumie drobnych pieniędzy.

Trudniej z dużemi monetami. Ale robi się tak. Daje się parę dużych monet i każdą z nich uderza się z góry w marmurek, co leży na kasie do próbo-

wania dźwięku, a tę ostatnią monetę, fałszywą kładzie się na drugich zaraz po ostatnim dobrym rublu. Trzeba to zrobić tak, żeby gość miał najpierw trochę zajęcia z drobną monetą. Będzie liczył i, jak usłyszy dobry dźwięk z dwóch rubli dobrych, to trzeciego fałszywego weźmie jak nic. To jest sposób przez Mendla wielokrotnie wypróbowany, ale on używa go nie częściej jak dwa — trzy razy na tydzień. Niezawsze jest taki rubel.

Zresztą — to są interesy bardzo delikatne.

Mendel Mandelbrust wolał interesy solidne i systematyczne, dające dochód stały w formie renty po prostu. Takim interesem była właśnie — wypłata szwaczek.

Dla zakładu pracowało dwadzieścia kilka szwaczek. Każda z nich zarabiała przeciętnie około 40 rubli miesięcznie; były takie co zarabiały o parę rubli więcej, ale tego nie warto liczyć. Od każdej z nich pobierał Mendel około 40 groszy miesięcznie, co razem stanowiło 5—6 rubli miesięcznie.

Ale z inkasem tej „renty“ bywały trudności.

I tak teraz np. przyszła do Mendla owa szwaczka, której się należało—tylko sześć złotych, bo wynagrodzenie za czepeczki zatrzymała Sara.

Mendel wziął karteczkę, podaną mu pokłutemi palcami szwaczki i podniósł ją do oczu, poprawiając lewą dłonią okulary.

— Coo? tilkie sześć złotych?

— Pani zatrzymała resztę...

— Tcc! panna nie chce zarobić...

— E! gadanie! nie dajecie! wasza córka wybredza w robocie...

— Tss! pani! trzeba mówić „pani“ — panna nie wie, czy co? ona tu pani jest!

— Pani, czy nie pani — co mi tam! mnie pieniędzy potrzeba!

— Ja zaraz wipłacę... ma panna 21 groszy reszty?... z rubla?

— Skąd mam mieć? ja po pieniądze przecie przyszłam!

— Ja zaraz dam.... akurat niema tyle drobnych... chyba dam pannie co mam?...

— Ileż to?

— Ja mam wszystkiego 87 kopiejek...

— To Mendel już całe sześć groszy chce skręcić?.

— Co jest „skręcić“? jakie „skręcić!“ ja więcej nie mam!

— Niech Mendel da rubla to ja pójdę zmienić!

— Ja mogę dać... ale panna będzie długo siedzieć, a ja potrzebuje drobne...

— Zaraz wrócę! muszę iść jeszcze aż na Krochmalną, może tam co dostanę!

— Pieniędzy?

— Nò jużci! potrzeba strasznie w domu — myślałam, że chociaż ze dwa ruble do domu przyniosę...

— A dużo pannie potrzeba?

— Cóż to Mendla obchodzi? czy da mi Mendel?

— Phii! może jabym i dał...

— To niech mi Mendel pożyczy rubla!

— Rubla? jednego rubla? całego rubla?

— No tak!

— To jest bardzo dużo! całego rubla!

— Ja oddam na przyszły tydzień.

— Panna nie będzie mogła oddać od razu! Ja bym dał... ale panna będzie oddawać po mału... ratami... przy każdej wypłacie ja potrącę 20 kopiejek... może nawet 15 kop. tylko... dobrze?

— A ile razy Mendel potrąci?

— Jak po złotówce to siedem razy — jak po 20 kop. to sześć i resztę ile wypadnie przy siódmej wypłate... ani panna nie poczuje, jak się wypłaci... prawda?

— Hm... niech Mendel da!

— Ja zaraz dam — niech mi panna napisze karteczki na siedem złote... o, tu!

— Niech Mendel wypisze, ja podmachnę!

Mendel umoczył we flaszeczce z atramentem dobyte z szufladki pióro i począł wypisywać oblig.

„Oblig“ na siedem złotych — na siedem kropli ciężkiego znoju, na siedemnaście godzin pracy przy słabym blasku szarego zimowego dnia, przy świetle bladem kopcącej lampki, siedemnaście godzin ślęczenia i mozołu przy maszynie z oczami zaczerwienionemi od śledzenia ruchów igły i śladu białej nici na białym perkalu — siedemnaście godzin skradzionych światłu, świeżemu oddechowi, młodości, zdrowiu, życiu...

Wypisał. Ona ujęła pióro i dużemi literami podpisała swoje nazwisko i imię.

Mendel wyliczył na ladę kasy rubla i 89 kopiejek.

— Grosz od rubla i grosz od te sześć złotych strącone! — rzekł.

Zgarnęła miedziaki w chustkę i wyszła.

Mendel Mandelbrust karteczkę szwaczki schował troskliwie w przepastne wnętrze zatłuszczonego pugilaresu...

A w pokoju za sklepem Sara Mandelbrust dalej przyjmowała od szwaczek gotową bieliznę.

Ruchy jej, jak u doskonale wykończonego automatu, w jednakowem tempie przerzucały sztuki bielizny, kładzionej na stole, ale ruchliwe palce badały wciąż szybko i skrupulatnie każdą sztukę a błyszczące czarne oczy szukały bez przestanku jakiejś wady, czy tylko jej pozoru, wystarczającego do przyczepki i wstrzymania zapłaty.

W ciemnawym tym pokoju, w którym mroki sączące się przez okno z zabudowanego podwórza rozjaśniała jedna tylko nad ladą zapalona lampa, panowała cisza. Szwaczki rozmawiały ze sobą szeptem, jakby obawiając się zwrócić na siebie uwagę.

Wtem drzwi szklane, prowadzące do sklepu, otwarła energicznie jakaś silna dłoń i na progu stanął młody mężczyzna w ciemnym paltocie i futrzanej czapce na głowie.

— Wy jeszczo dołgo zdjeś’ zaniata Sure? — zapytał.

Młoda żydówka szybko odwróciła głowę; w oczach jej błysnął jakiś przelotny płomień.

— Zdrastwujtie Genrych Szmulowicz!—rzekła — siejczas swobodna — padażditie niemnożko!

— Nu, charaszo... — odwrócił się i usiadł na stojącem pod oknem krześle. Wyjął z kieszeni papierośnicę srebrną, dobył z niej papierosa, i, zapaliwszy, począł puszczać duże kłęby sinego dymu na pokój.

Sara zaczęła pospiesznej przerzucać stos składanej przez nią bielizny. Nie odrzucała już sztuk wadliwie uszytych, nie sortowała, nie robiła szwaczkom „potrąceń“. Kartkę za kartką wydzierała z bloku, wypisując na niej z nerwowym pośpiechem drobne kwoty należności dla szwaczek. Wreszcie wypisała ostatniej i ostatnia szwaczka przeszła przez oszklone drzwi do budki Mendla Mandelbrusta w sklepie, dziwiącego się, że wszystkie klijentki naraz przychodzą.

— Lejbe! — zawołała Sara — nym weg dus! połóż to do szafów.

Z ciemnego kąta pokoju wysunął się młody żydek i zaczął zbierać stos rozrzuconej bielizny.

Sara odwróciła się do swego gościa.

— Paczemu wy siewodnia pryszli w ławku? — rzekła — ja myślałam, że przyjdziesz na górę?

— Czy nie wszystko jedno? — rzekł po rusku młody brunet, zakładając nogę na nogę — ja mam czas, to ja przyszedłem tutaj...

— Gazeta wyszła już?

— Dlaczego nie miała wyjść?

— Dużo zarobiłeś dzisiaj?

— Dlaczego ja miałem zarobić mało? Ja potrzebuję zarobić dużo! W te Warszawe to podłe zarobki są! za to, co ja tu w dzień piszę, to w Petersburgu ja by dziennie pięćdziesiąt rubli miał!

— A ile teraz masz?

— Ile ja mam? Poco tobie to wiedzieć? Czy ty mi dołożysz? Ile ja potrzebuję tyle mam... może sześć rubli, może dwanaście... ty powiedz Sara, jak u ciebie jest? co u ciebie w sklepie się dzieje? Czy ty myślałaś nad tem, co ja ciebie powiedziałem w tamten tydzień?

— Ja myślałam, dużo myślałam — ja z tobą chcę się o to rozmówić, Genrych.

— Kanieczno! ja tu po to przyszedł!

— Może poczekasz trochę, ja zaraz zamknę sklep i pójdziemy na górę?

— Po co czekać? Ty Sara jeszcze nie potrzebujesz zamykać sklep! jeszcze niema ósmej godziny— może jeszcze kto przyjść — tymczasem możemy gadać i tu!

— Ty nie chcesz iść na górę? jest wódka dla ciebie i pudełko sardynek i ryba jest...

— Charaszo! Ty Sara jesteś gospodyni!... dlaczego ja nie mam iść? ja pójdę! ale możemy teraz gadać! Czy ty mówiłaś co z ojcem? czy on pozwoli?

— On do pozwolenia niema nic — sklep jest mój i ja go prowadzę!

— A soj! tę filję na Marszałkowskie trzeba zrobić zaraz, póki komu innemu to nie przyjdzie do głowy. Ty Sara potrzebujesz jutro być tam i zgodzić sklep. A towar ty będziesz mieć?

— Oj joj! z towarem niema żaden kłopot. Ja mam zapas, a jak będzie potrzebno, szwaczki przyniosą ile każę!

— A ty ze szwaczkami mówiłaś już?

— Jeszcze... one będą robiły gwałt!

— Co jest gwałt? co znaczy gwałt? czy ty musisz ich trzymać? ty jesteś przecie pani u siebie! tobie wolno jedną przyjąć, drugą oddalić!

— Ja wiem — ale jak ja wymówię im robote to une będą krzykać!

— Ty tego nie potrzebujesz słyszeć! ty pomyśl nad tem, na ile ciebie każda taka szwaczka obdziera. One zabierają cały zysk — za takie robote, co warte jest 50 kopiejki, ty potrzebujesz płacić rubla! Czy to kto słyszał!

— Ja im powiem, że ja nie mogę tak płacić, że potrzebno jest zniżyć cenę o 30 proc.

— To co będzie? one się nie zgodzą!

— Ja wiem, ale tak to one odejdą same — nie będzie się nazywać, że ja ich wypędzam.

— Jak chcesz. Może być i tak. To jest niepotrzebne delikatność, ale jak chcesz...

— Ty nie wiesz Genrych! jak ja ich wypędzę zaraz się zrobi na gazety taki krzyk...

— Ujj! co to komu szkodzi! ty potrzebujesz się bać na gazety! Jak one będą krzikać, to my też mamy nasze gazety! Ja sam napiszę, że to jest wyzysk, ciemiężenie na nasz handel! zresztą, kto czyta ich gazety. Te co czytają, jak potrzebno jest co kupić, też do nas przyjdą! czytanie co innego, a handel co innego!

— Ale czy ty, Gienrych, napewno wiesz, że ja będę miała inne szwaczki?

— Jakbym ja nie wiedział, czyby ja do ciebie mówiłem? Ja się wczoraj widziałem z siostrą Ustmana, tą co ma na Gęsiej sklep, ona mi powiedziała, że już więcej jak trzydzieści dziewczyny czeka na zarobek u ciebie!

— Ile ja im mam płacić?

— O 30 procent mniej, jak teraz płacisz! To są same małe dziewczyny — one nie potrzebują tyle brać — one będą dłużej szyć ale to wyniesie taniej— przez to ty potrzebujesz wziąć więcej szwaczek. My rachowali z siostrą Ustmana, że tobie będzie potrzebno czterdzieści takie dziewczyny i pięć starsze, do krajania i do dozoru nad te całe robote! Ile ty płacisz tygodniowo teraz?

— Prawie dwieście osiemdziesiąt rubli...

— To teraz ty nie będziesz więcej płacić jak... dwieście! Może nawet i tyle nie — zobaczymy! a roboty będziesz miała więcej jak teraz!

— Ty Gienrych masz dobrą głowę!

— Co jabym był wart, żebym ja głowy nie miał! ja głowę mam!

Sara spojrzała nań z zachwytem.

On cisnął w kąt niedopałek papierosa, wstał i począł chodzić po ciemnawym pokoju.

— Ja głowę mam! — mówił — i my wszystkie powinny głowę mieć! my żyjemy w obcym narodzie, w takim narodzie, co swoje głowe tylko po to nosi na karku, żeby miał na co włożyć czapke! I jemu tylko o to chodzi, żeby ta czapka była ładna, czer-

wona i żeby na niej były piórka! dużo piórek, jak najwięcej piórek! To my im musimy robić takie czapki i takie piórki! My musimy żyć! a jak my możemy żyć? z niemi? oni nas nie chcą, bo my nie nosimy piórki! oni nas nie chcą, bo my nie lecimy tam gdzie oni! Oni idą na każdy ogień, na każde światło! nie pitają czy ten ogień grzeje czy może parzy! oni lecą na oślep i chcieliby, żeby my z nimi lecieli! Oni piszą swoje książki, swoje gazety, grają na swoje teatry — co to wszystko obchodzi nas? My możemy mieć swoje książki, swoje gazety, swoje teatry też! Oni mają swój język? Nasz język jest starszy! Kto nam może odebrać nasz język? my sobie nie damy go odebrać! Oni krzykają, że my mówimy po niemiecku? Co nas to obchodz? Czy my im bronimy mówić po francusku? jak nam to potrzebno do handlu, to my będziemy tak mówić! Czy z niemi można co zarobić? Nie! z niemi można tylko stracić! A czy my potrzebujemy stracić? Kto to potrzebuje stracić! my potrzebujemy zarobić! i wszystko jedno na kim i na czem! Na nich? niech będzie na nich!

Mówił coraz namiętniej, machając rękami, zniżając głos do syczącego szeptu, przystając przed Sarą i wpatrując się w nią błyszczącemi jak węgle oczami.

Ona wzięła go za rękę.

— Pomiędzy wszystkie nasze inteligienty nie było dotąd takiego jak ty, Gienrych! — rzekła.

On zaśmiał się.

— Nie było! naturalnie, że nie było! Kto tu miał być? Głupie pismaki z „Hacefire“? a może te co robią z gojami geszeft na asymilacje i wydają „Izraelite“? Ja tobie powiadam Sure, że teraz dopiero będzie tutaj porządek! My go zrobimy! My zrobimy naszą prasę żargonową taką wielką panią w Warszawie, że nikt nie będzie śmiał podnieść na nią głosu! nikt! a wtedy my tu będziemy panami, nie... tamte!

Sara tuliła wciąż jego dłoń!

— Słuchaj, Gienrych — rzekła cichym głosem— a kiedy będzie nasze wesele...

— Ty się pytasz na wesele? a czemu ty się pytasz o to mnie? czemu ty się nie zapytasz siebie? czy to zależy odemnie?

— Ty wiesz przecie, że ja się zgodziłam...

— Ona się zgodziła! ona mi mówi wielkie nowine! a ty pamiętasz, co ja tobie powiedziałem? kiedy ja się z tobą będę ożenić?

— Jak założę ten drugi sklep...

— Noo? to ty wiesz!

— Ja wiem... ale mi dziwno... dlaczego ty czekasz na ten sklep?

— Na co mam czekać? Czy twój ojciec daje posag? On ledwie wie, że żyje! czy jego to obchodzi co ty ze sobą zrobisz? Jego więcej obchodzą te stare głupie szpargały co je czyta! to kto tobie da posag? Ty sama musisz go sobie dać! Czy ja się mogę żenić bez posag? Powiedz?

— Ja wiem, że nie możesz!

— Co to nie możesz! Mnie to niewolno zrobić! ja nie mogę być żaden kapcan! ja muszę porządnie żyć razem z żoną i dziećmi! Ja muszę robić interesy, wielkie interesy! Ja muszę mieć pieniądz, żeby zbudować życie sobie, żonie i dzieciom!

— Ja to wiem...

— Jak ty to wiesz, to ty rozumiesz, że ty musisz mieć posag. Skąd ty jego weźmiesz? Z ten sklep? Póki ten sklep jest jeden, to nie można z niego nic brać. Ty przecie masz brata, masz siostre — one są małe, ale przez to jeszcze gorzej, bo nie można zrobić podział. A na twój ojciec nic nie można liczyć. On by mógł wziąć kapitał i tobie dać. Ale kto z nim dojdzie do ładu? Po co ten kłopot? Kiedy ty i tak posag możesz mieć! Tamten sklep założy się na twoje imię, to będzie twój posag. Tamten sklep może dawać większy dochód jak ten i on będzie zupełnie twój — a do tego ty też będziesz należeć! Ty rozumiesz teraz jaki to geszeft? Ten cały sklep, jakby jego oszacować z towarem, ze wszystkiem razem i z twoim ojcem nawet, to może być wart 50 tysięcy — to ile ty możesz dostać? może 10 tysięcy! A tamten sklep, to on za rok będzie wartał 30 tysięcy! to ile będzie wynosił twój posag? 40 tysięcy— ten nowy sklep i prawo do starego! rozumiesz?

— Teraz to ja rozumiem!

— Ty potrzebujesz teraz tylko pośpieszyć z odkryciem tego sklepu, a wesele będzie wnet!

Zapanowało milczenie.

Nagle skrzypły szklane drzwi od sklepu.

— Sure! wus machst di? — wołał stary Mendel Mandelbrust, stając na progu w uchylonych drzwiach — sis siojn śpejt!

Sara odskoczyła od narzeczonego.

— Joch gaj siojn! — rzekła niechętnie — co się ojciec wtrąca do zamykania sklepu? Ja sama wiem, kiedy trzeba zamknąć!

Mendel zakłopotał się.

— Sureleben — rzekł wreszcie — ty się nie gniwaj! ja sie nie wtrącam do twoje interesy — tilki jaby chciałem iść już na góre — tam w mieszkaniu jest niespodziwanke dla ciebie — aj, waj! jakie niespodziwankie!

— Co? co znaczy „niespodziwankie"? co ojciec wygaduje?

— Sza! sza! ty sama zobaczysz!

— Co ja zobaczę?

— Ty znasz Borucha? — starego Borucha Migdała?

— Dlaczego nie mam znać? jego wszyscy znają!

— To on przyszedł i czeka na górze...

— On? po co on czeka? czego on chce?

— On przyszedł — swatać ciebie...

Sara przyskoczyła do ojca.

— Co on przyszedł zrobić?!! — zawołała, chwytając go za rękę.

— Co on może zrobić? wiadomo! Boruch jest swat — to on przyszedł do nas swatać tobie jeden kawaler...

Sara żachnęła się gwałtownie.

— On może sobie iść! — krzyknęła — ja nie potrzebuję żadne swaty!

Zapanowało milczenie.

Mendel zaskoczony wykrzyknikiem córki stał, patrząc na nią i nie rozumiejąc, czego córka się gniewa.

— Niech ojciec idzie mu powiedzieć, żeby sobie poszedł! — zawołała Sara — ja nie potrzebuję żadne swaty!

Ale Mendel stał.

— Niech ojciec idzie! — powtórzyła Sara.

— Sureleben — ja nic nie rozumiem—dlaczego ty się gniewasz?

— Ja nie chcę żadne swaty! rozumie ojciec?

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie chcę! niech mu ojciec to idzie powiedzieć!

— Ale dlaczego??... ja jemu kazałem przyjść...

— To ja mu sama powiem!! — zawróciła się, skoczyła do drzwi, odepchnęła od nich ojca i zniknęła w sklepie.

Stary Mendel patrzył na nią zdumiony...

— Ona nie chce?.. — szeptał.

W znajomym nam już stołowym pokoju mieszkania rodziny Morgenglansów miało się odbyć familijne zebranie. Nie tyle nawet zebranie, ile rada. Każdy człowiek, duży czy mały, ma swoje interesy. Morgenglansowie też mieli interesy, a że oni byli

wielcy ludzie, więc interesy jakie oni prowadzili byli też wielkie i rada o nich musiała być ważna.

Stary Morgenglans siedział w fotelu milcząc. Na stole zasłanym żółtą serwetą stała karafka z kolorowego szkła z wódką wyborową, obok szabasowe kubki i talerzyki, jeden z migdałami, drugi z makaronikami.

Oprócz Morgenglansa nie było jeszcze nikogo w pokoju. A stary Morgenglans czekał i myślał. Myślał i brał od czasu do czasu z talerzyka migdał, rozgryzał go resztką zębów i żuł. To bardzo pomaga w myśleniu.

Skrzypnęły drzwi i wszedł Chaim Morgenglans, jego syn.

— Oni nie przychodzą — rzekł siadając i patrząc na zegarek — już szósta dochodzi!

— Skoro dopiero dochodzi, to po co oni się mają spieszyć? — odparł zwolna stary. — Ty bądź spokojny Sokołowicz się nie spóźni!

— Ja widzę, co wy tate bardzo obstajecie znowu za ten Sokołowicz!

— Dlaczego ja nie mam obstawać? on idzie z nami!

— Ale co to kosztowało...

— Ty Chaim, potrzebujesz najpierw pomyśleć ile to dało zarobku. Jak interes się opłaca, niech kosztuje!

— Czasem się zrobi taki interes co się bardzo opłaca a nie kosztuje prawie nic!

— Czasem! czasem to nie jest zawsze! to jest nawet — rzadko! a interesy potrzebno robić ciągle.

— Czy ja niechcę je robić? mnie tylko dziwno, że wy, tate, teraz tak lubicie ten Sokołowicz!

— Jak ja jego lubię?

— Wy mówicie zawsze tylko o nim. Jak jest jaki kłopot, to wy powiadacie: trzeba się poradzić u Sokołowicza! jak jest jaki interes, to wy mówicie: potrzebno spitać Sokołowicz! jak się w handlu co stanie inaczej jak jest potrzebno, to wy mówicie: Sokołowicz by tego nie dopuścił! ciągle tylko Sokołowicz i Sokołowicz!

Stary Morgenglans uśmiechnął się.

— Ja tak mówię, bo ja bardzo chcę, żeby ty Chaim i twoje dzieci tak robili jak robi Sokołowicz!

Chaim zerwał się z krzesła.

— Wy tate tego chcecie!? to my mamy tak jak on on niebać się Boga ani rabina?! my mamy wypierać się naszych praw? chodzić między goje? robić z niemi interesy? napychać im kieszenie? z niemi pić i jeść?!

Stary podniósł rękę.

— Tsss! czego ty tyle mówisz? po co tyle słów?

— Jak ja nie mam mówić...

— Tsss! Sokołowicz by tyle nie gadał!

— Znowu Sokołowicz!

— On by się spytał: czego ja chcę — i kwita! i jabym jemu wytłómaczył i rozmowe prędko by się skończyło. Nie byłoby tyle straty czasu, tyle niepotrzebny krzyk.

— Co? to rozmowa jest strata czasu?

— A ty myślałeś, że jest znowu tylko zysk?

— Z rozmowy interesy są!

— Tak. Ale jeżeli rozmowa dłużej trwa jak jest potrzebno, żeby interes zrozumieć, to jest strata. Słuchaj Chaim: ile szmalcu potrzebno jest wziąć do upieczenia jedna gęś? niech będzie pół funta. Jeżeli ty weźmiesz funt to czy gęś będzie upieczona prędzej albo lepiej? nie! straci się tylko niepotrzebnie pół funta szmalcu. Tak samo z rozmową: jeżeli wystarczy rozmawiać kwadrans do załatwienia interesu po co rozmawiać półgodziny? Za te stracone pół funta szmalcu można upiec drugą gęś — za stracony kwadrans rozmowy można zrobić drugi interes. Rozumiesz?

— Rozumiem. Ale co to się ma do Sokołowicza?

— Ty jeszcze nie wiesz? to ja tobie powiem. Sokołowicz jest taki człowiek, że on nie da funt szmalcu jeżeli może dać pół funta. On nie da też ćwierć funta jeżeli pół funta jest potrzebno, ale on nie straci nie zmarnuje ani jeden łut. Z czasem tak samo, z pieniędzmi tak samo, ze wszystkiem tak samo. To dlatego on robi interesy prędko i majątek jego rośnie jak drzewo cedrowe na Libanie. A my wszyscy tracimy dużo czasu i robimy interesy pomału. Ty patrzaj na nasz sklep. Ile lat my mamy interes w ten sklep? sześćdziesiąt osiem. Sześćdziesiąt osiem lat, to jest więcej jak dwa pokolenia. Sokołowicz zaczynał z czterema tysiącami rubli przed dwudziestu laty. Wiem ile on ma dzisiaj? Przeszło trzysta tysięcy. A mój ojciec zaczął z dziesięcioma tysiącami i dziś za te sześćdziesiąt osiem lat, to my wszystkie też mamy trzysta tysięcy. Czy ty widzisz

te różnice? Czy nie lepiej jest tak robić jak robi Sokołowicz? czy nie lepiej tak zarabiać jak on?

— Ja nie powiem, że to jest gorzej; ale Sokołowicz jest inny człowiek jak my!

— Ja wiem. On jest inny. On jest twardy. On jest zimny. On jest nowomodny, on nie dba na nasze prawa, on nie ceni sobie tego, że on pochodzi z takiego narodu, który Bóg nasz wybrał nad wszystkie inne narody! Czy on jest żyd? on jest, bo inni jeszcze o tem pamiętają. Ale żeby on mógł tak zrobić, żeby nie był żydem, to on by to zaraz zrobił, jeszcze dziś!

— Czemu on się nie wykrzci?

— On mądry jest. On wie, że chociaż on by się wykrzcił to on w ludzkich oczach i tak będzie żydem dalej i jego dzieci jeszcze będą. Ale pomału jego dzieciom to zapomną goje, a jego wnuki będą już mówić, że one nigdy nie były żydami.

— To ja, tate, mam tak samo zrobić?

— Ty Chaim nie mów takie mowe! jak by ty zapomniał o tem, że ty jesteś żydem, bo jabym ciebie przeklnął.

— Ja nie zapomnę tate! ja byłem żydem i zostanę żydem; niech sobie krzci Sokołowicz!

— Słuchaj Chaim — ty musisz być żydem ale takim samym mądrym jak Sokołowicz jest! ty nie potrzebujesz się wyrzekać zakonu a możesz robić dobre interesy i potrzebno jest, żebyś ty je robił prędko! żeby twój majątek tak rósł jak rośnie majątek Sokołowicza! Tego ja chcę! Ty teraz wiesz?

— Ja wiem, tate...

Ojciec i syn zamyślili się. W ciszy słychać było tylko tykanie ściennego zegara i stłumiony odgłos ulicznego ruchu, dolatujący przez mury domów, przez mętne szyby okien.

Ale wnet tę chwilę skupionego milczenia jakiemu oddawali się ojciec i syn Morgenglansowie przerwał głos dzwonka odzywającego się u drzwi wchodowych w dalszej części mieszkania.

Równocześnie zegar uderzył szóstą.

— Sejste? — spytał syna stary Morgenglans — szósta bije, Sokołowicz przychodzi. Nie stracił ani minuty czasu i nie spóźnił się także!

Jakoż był to istotnie Sokołowicz.

Wszedł razem z Marszelesem, który spotkał go na schodach.

Morgenglansowie powitali przybyłych i czterej mężczyźni zasiedli koło stołu nakrytego żółtą serwetą.

— No, skoro my się szczęśliwie zeszli — zaczął stary Morgenglans napiwszy się z gośćmi wódki i przekąsiwszy migdałem — to my możemy gadać.

— Możemy! — rzekł Marszeles.

— Potrzebujemy! — dorzucił nerwowo Chaim.

Sokołowicz milczał.

— Tu niepotrzebne duże gadanie! — zaczął znów Marszeles — wy Morgenglans najlepiej wiecie co trzeba.

— Rady! — rzekł Morgenglans.

— Pieniędzy — powiedział spokojnie Sokołowicz.

— Już zaraz pieniędzy — podchwycił Chaim — wy Sokołowicz odrazu o pieniądze!

— Sza! my posłuchajmy najpierw co powie o cały interas Marszeles. On był do tego interesu faktor, niech on mówi!

— Co ja mam mówić? czy wam potrzeba opowiadać· jak małym dzieciom?

— Wy mówcie, Marszeles!

— No — ja powiem. Do mnie przyszedł onegdaj Boruch Migdał i powiedział: „verfał!“ to ja się jemu zapytałem co ma być „verfał“? a on mi na to: „dus geszeft na sklep od gotowe bielizne od córki Mendla Mandelbrusta“. To ja kazałem jemu siedzieć i wypytywałem się o wszystko od początku. On mi opowiedział, że córkie od stary Mandelbrust, te starsze Sure, jemu wyrzuciła za drzwi!

— Z jakim sposobem? — zapytał Chaim.

— Z jakim ma być sposobem? wcale bez sposobu! z rękiem!

— Jakto? to ona jego wypchnęła rękami?

— A czem miała wypchnąć? Goje czasem wypychają z nogiem ale czy ona jest od gojów?

— Una jest a ganz miszugienes Mejdeł!

— Czy ja powiadam, że ona nie jest miszugien? Boruch Migdał toż to powiada, że ona jest!

— Pustiaki! — rzekł Sokołowicz — w tom diało dlaczego ona tego zrobiła?

— Dlaczego? to ja wam powiem: ona sobie nie chce wydać za mąż!

— Coo?

— Wus hajst?

— Ona nie chce?
— Jak to może być?
— To jest nie wolno!
— To jest grzech!!!
— Ona nie chce!
— Czy ona to powiedziała?
— A kto miał powiedzieć?

Zapanowało milczenie. Ale przerwał je wnet Morgenglans.

— Czy Boruch Migdał mówił ze starym Mendlem?
— Dlaczego nie miał mówić? on mówił!
— I co powiedział Mendel?
— Mendel się zgodził.
— A ona nie chce?
— A ona nie chce.
— To ona nie słucha ojca?
— Czy ona jemu kiedy słuchała? Czy wy Morgenglans nie znacie Sury?

— To w sklepie, to co innego. Jak ona miała do handlu większe zdanie od niego, to ona mogła jego nie słuchać. Stary Mendel na handlu się nie zna. Ale on jest jej ojciec! dziecko musi słuchać ojca!

— Czy on powiedział córce, że wybrał dla niej męża? — spytał Sokołowicz.

— On powiedział jej, że przyszedł w swaty Boruch. A ona kazała mu, żeby Borucha wypędził. On się zdziwił, a ona sama poleciała ze sklepu na górę i powiedziała Boruchowi, żeby szedł precz, że ona za mąż nie chce iść. On jej chciał wytłómaczyć to ona jego wyrzuciła za drzwi!

— To co będzie teraz?

— Ja wiem? wy powiedzcie Morgenglans!

— Czemu wy sami Marszeles nie poszli do Mendla?

— Nie pasowało.

— Dlaczego nie pasowało?

— Nie pasowało. Jak ja powiadam, że nie pasowało to już tak musi być. Ja posyłałem naprzód Borucha, a jakby on zaczepił, to jabym dopiero poszedł był przybić interes!

— A ja wam powiadam, że popsuło się dlatego, żeście wy nie poszli sami.

— Słuchajcie Morgenglans — ja chodzę na same ważne interesy. Póki interes nie jest pewny, ja nie idę, żeby nie robić despekt dla moje klijenty. Jak ja mam żenić waszego wnuka z Sarą Mandelbrust, to ja muszę najpierw posłać Borucha. Więcej pasuje jak jego wyrzucą za drzwi aniżeli jak by mnie wyrzucili. To tak jakby wyrzucili wasz wnuczek!

— Boruch też przecie przyszedł o mojego wnuczka.

— Ale on nie zdążył jeszcze powiedzieć! bo ona nic nie chciała słuchać!

— To ona nie wie, że Boruch przychodził od was?...

— Zkąd ma wiedzieć? Kto jej to powiedział?

— Bałtajetie, bałtajetie, a to niczewo nie stoit!— sarknął nagle Sokołowicz — co to ma do interesu? tu trzeba wiedzieć: dlaczego ona nie chce iść za mąż? Potrzebno wiedzieć czy ten interes można naprawić czy nie? ot co!

— Wy Sokołowicz macie rację.

— Ja myślę że wy Morgenglans myślicie tak jak ja: ten interes jest nam potrzebny do nasz handel — do moje manufakture i do wasz sklep. Jego trzeba koniecznie zrobić!

— Dlaczego? — spytał Chaim.

— Bo nam potrzebny jest taki interes coby przerabiał nasz towar i sprzedawał go. Nam potrzebny jest zarobek na towarze i na przeróbce. My musimy mieć swoje pracownie — jak nie te, to inne.

— Inne takie niema, coby można zeswatać.

— Więc trzeba ten interes naprawić.

— Ale jak?

— Tego ani wy nie wiecie, ani ja nie wiem. Trzeba wiedzieć dlaczego ten interes się zepsuł.

— Dlatego, że ona nie chce!

— Pustiaki! a dlaczego ona nie chce?

Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć.

— Widzicie, że nikt nie wie dlaczego się interes zepsuł. Ale ja będę wiedział jeszcze dziś.

— Wy, Sokołowicz?

— Tak jest, ja.

— I wy nam powiecie?

— Kanieczno. Teraz niema czasu dłużej gadać. I nie ma potrzeby. Ja muszę iść. Dziś nie przyjdę już, bo mnie wiadomość może dojść późno. Ale jutro o dziesiątej wy przyjdźcie do mnie, do kantory. Ja już będę wiedział.

Wstał i wziął kapelusz.

Wstali i inni.

— Niech będzie tak! — rzekł Morgenglans — jutro o dziesiątej! pinkt a soj!

— Pinkt a soj!!

IV.

Litwak i sjonista.

Sokołowicz szybko załatwiał dziś interesy swego kantoru. „Skład manufakturny“ zaczynał dopiero funkcjonować nie było więc tych interesów za wiele. Ale Sokołowicz miał zawsze dużo spraw własnych i nie zaniedbywał żadnej, nie opóźniał nigdy załatwienia żadnego interesu.

Ale dziś spieszył się wyjątkowo. Szybko przebiegał oczami podawane mu do podpisu listy i faktury, wydawał krótkie rozporządzenia słuchał raportów.

Interesantów nie przyjmował jednak żadnych.

— Przyszedł agent z biura ogłoszeniowego — meldował mu „prykaszczyk“ — powiada, że ma bardzo dobrą kombinację na reklamy ale chce mówić koniecznie z panem...

— Moja kombinacja jest lepsza, bo nie wymaga wydatku — odpowiedział zwięźle szef — niepotrzeba!

— A może pan przyjmie starego Essigmana?...

— Czy on chce co kupić?

— On względem gminy naszej...

— Naszej? moja gmina jest w Mińsku.

— On powiada, że należy się, żeby pan co dał...

— Ja mogę powiedzieć, że mnie się należy, żeby gmina coś dała mnie. Kto tam jest jeszcze?

— Inkasent zakładów gazowych.

— Powiedz mu pan, że zakłady płacą tylko raz na miesiąc i ja także.

— Kiedy on ma przyjść?

— Jak towarzystwo odbierze nasz cyrkularz o terminie wypłat.

— Czy pan wychodzi?

— Nie. Ale nie przyjmuję nikogo. Przyjdzie tu jeden żydek. On się nazywa Jojne Czystość. Tego wpuścić.

Prykaszczyk wyszedł.

Za chwilę jednak wrócił prowadząc izraelitę średnich lat w ciemnym paltocie i futrzanej czapce z małą rudawą bródką dokoła twarzy, w której świeciła para małych, bystrych czarnych oczu.

— Jest Czystość — rzekł — on tu już czeka z pół godziny.

— A wy patrzycie i nic nie wiecie o tem! — żachnął się Sokołowicz — możesz pan iść!

— Wy jesteście Jojne Czystość?— zapytał izraelitę, który przysunął się do stołu.

— A kto ja mam być?

— Siadajcie. Wy znacie Mandelbrusta Mendla? tego co ma skład gotowej bielizny?

— Kto jego nie zna!

— I córkę jego znacie?

— Jak to można nie znać jego córki, jak się zna starego Mendla!

— Ona wychodzi zamąż podobno?

— Nie słyszałem...

— I wy Jojne, jesteście faktor?

— Ja jestem faktor, ale ja nie jestem swat.

— Niepotrzeba być swat, żeby to wiedzieć. Trzeba tylko umieć słuchać!

— Wy chcecie wiedzieć czy ona idzie zamąż?

— Potrzebuję.

— Git. Ja się mogę dowiedzieć. Ile ja na tem zarobię?

— Ile myślicie?

Czystość pomyślał trochę.

— Dziesięć rubli?... — rzekł, przechylając głowę na bok.

— Słuchajcie. Dziesięć rubli to jest ładna zapłata. To jest dużo za taką wiadomość. Ale jeżeli ta wiadomość będzie dokładna — ja dam dziesięć rubli! Wy mnie dacie kwit na piętnaście.

— Dam. Ale wy dodacie rubla.

— Dodam pięćdziesiąt kopiejek, to od siebie. Za to, że macie ze mną do czynienia. Bo za mój czas ja też muszę zarobić. A mój czas drogi. Ta wiadomość potrzebna jest dla jeden mój krewny.

— Niech będzie dla krewny.

— Słuchajcie Jojne. Wy musicie się dowiedzieć czy ona idzie zamąż, czy ona już kogo ma, co ona myśli, czy jej ojciec o tem co wie.

— Jakto może być, żeby on nie wiedział o takie rzeczy?

— Może być. Wy się nie dziwujcie tylko dowiedzcie się.

Jojne pokręcił głową.

— Wy myślicie, że ona?.. — zapytał znów, przechylając głowę na bok.

— Ja nic nie myślę. Może być tak, może być inaczej.

— Jak wy myślicie, że może być?

— Jakby ja wam powiedział, to za co wy byście dostali dziesięć rubli?

— Dziesięć rubli i pięćdziesiąt kopiejek.

— I pięćdziesiąt kopiejek. Wiem. A wy się musicie dowiedzieć resztę.

— Ja się dowiem. Dajcie rubla na koszty.

— Ja nigdy nie płacę naprzód.

— Nie? no! niech będzie! Kiedy wam potrzebna ta wiadomość?

— Ona mnie potrzebna — wczoraj. Ale jak ją przyniesiecie dziś, to ja i tak zapłacę.

— Dziś? to się nie da zrobić. Wieczór już.

— Ja idę późno spać.

— Nie. Nie zdążę. Jutro przyjdę.

— Kiedy?

— W południe.

— Dobrze. Czekam do trzeciej.

Sokołowicz wstał i podał Jojnemu rękę.

— Blajbt gezind! — rzekł Jojne wychodząc.

W niespełna pół godziny zameldowano Sokołowiczowi drugiego żydka w jakimś osobistym interesie.

— Jak się nazywa? — zapytał prykaszczyka.

— On powiada, że jest Icek Ocet.

— Niech przyjdzie Ocet!

Wszedł do kantoru Ocet, podobny zupełnie w ogólnym zarysie do Czystości, z tą tylko różnicą, że miał zarost czarny, był młodszy i nosił, kapelusz nie czapkę.

— A giten Tug! — rzekł Ocet.

— No? już wiecie?

— Wiem. Ja zawsze wszystko wiem!

— No?

— Ja siądę.

— Siadajcie.

Icek Ocet usiadł i przysunął się z krzesłem do fotelu Sokołowicza.

— Una się widaje!

— Za kogo?

— Za kogo? Wy skoczycie, jak ja wam powiem.

— Niech ja skaczę! — gadajcie!

— Czy wy znacie Fajwel Ustman? Ten co pisze w gazete „Unser Welt“?

— Znam. To za niego?

— Nie. A czy wy znacie jego pomocnik?

Sokołowicz przymrużył oczy i spojrzał w okno.

— Ten... Szmulowicz?

— Szmulowicz? może być i Szmulowicz... on powiada, że się nazywa Rybner! ale mnie wszystko jedno!

— On się nazywa Rybner! dlatego, że jego ojciec był raz w Rybińsku i tam zrobił interes na wojskowe dostawe!

— Mnie wszystko jedno!

— I mnie też. Zresztą — ja się nazywam Sokołowicz, choć nigdy nie byłem w Sokołowie.

— Wiadomo!...

— Więc cóż on ten... Szmulowicz-Rybner?

— On? on chodzi do Sure Mandelbrust...

— I co?

— I on powiada jej, że się z nią będzie żenił...

— Aha! no, a stary Mondelbrust?

— Co ma być ze stary Mondelbrust?

— On pozwala?

— Jak on ma pozwalać, kiedy on wcale nie wie o tem!

— Nie wie? Nu, atliczno!

— Wy jemu będziecie powiedzieć?

— Co ja zrobię, to ciebie Icek nie obchodzi nic rozumiesz?

— Joch versztaj! czemu ja nie mam rozumieć! ja na tem nic nie zarobię!

— Ty mnie powiedz: czy między niemi co może już było?

— Z kim? z Mandelbrustem?

— Głupi ty! ja pytam o jego córkę i o tego... Rybnera!

— Czy między niemi co... Ujjj! Mnie na was dziwno Sokołowicz, co wy pytacie o takie rzeczy! skąd ja to mogę wiedzieć? to nawet nie było w umowe między nami!

— Aha! no, to cóż kosztuje ta wiadomość? ile?

— Ja nawet nie wiem, o co wam chodzi!

Sokołowicz sięgnął do kieszeni dobył pugilares

a z niego zieloną trzyrublówkę. Dobył ją i położył na stole przed Ickiem.

Ale Icek skrzywił się.

— Ja nic nie wiem! — mruknął i odwrócił się do okna.

Sokołowicz popatrzył na niego i uśmiechnął się.

— To szkoda, że nic nie wiecie! — rzekł — bylibyście zarobili trzy ruble. No, jak nie wiecie... to mówiąc, wyciągnął rękę ku trzyrublówce.

Icek obrócił się momentalnie.

— Ja się mogę domyślać trochę! — rzekł pospiesznie, ale ja nic nie wiem!

Ręka Sokołowicza zatrzymała się przy trzyrublówce — palce zaczęły pukać po niej.

— I co wy się domyślacie? — spytał zwolna.

Icek nachylił się.

— Ja miślę, że one jeszcze nic ze sobą nie miały! — rzekł.

— A po czem wy to miarkujecie?

— Sure jest przecie cały dzień w sklepie, a on, ten Rybner, siedzi w gazete! Jak przychodzi do niej, to zaraz wieczorem przed zamknięciem, a na górę nie lubi chodzić. Zresztą na góre jest stary Mandelbrust i subjekt ze sklepu, taki mały.

— Aha. To on tobie to powiedział?

— Może on, może nie on!

— Ale ty Icek napewno mówisz mi?

— Co znaczy „napewno“? kto to może wiedzieć na pewno!

— No, ja rozumiem — szkoda! byłbym wam dał te trzy ruble!

To rzekłszy szybkim ruchem cofnął rękę razem z trzyrublówką.

Icek zerwał się.

— Co jest? czego wy bierzecie ten papierek? przecie on się mnie należy!

— Gdybyś wiedział co napewno — ale nie wiesz!

— Co znaczy nie wiem? czy ja wam nie powiedziałem?!

— Ale nie na pewno...

— Co znaczy „na pewno“? ja wiem na pewno!!

— Mówiłeś, że tego nikt nie może wiedzieć!!

— Co ja mówiłem! wam się przesłyszało!!

Sokołowicz wstał.

— Widzisz Icek! — rzekł, patrząc pogardliwie na faktora — ty chciałeś mnie nadużć! rozumiesz? chciałeś wyciągnąć odemnie pieniądze — a tak możesz za to nie dostać nic i masz teraz strach!

— Wy nie mówcie takie głupstwo! ja wiem, że wy żartujecie!

— Nie! ja nie żartuję. Ja mogę tobie nie dać te trzy ruble...

— Oj waj! co wy chcecie zrobić z takim biednym żydkiem? wy się zlitujcie! ja mam czworo...

— Dzieci. Wiem. Dlatego ja tobie te trzy ruble dam. Ale ty wiedz, że ze mną nie można tak. Nie można mnie naciągać. Ja się nie dam! Ty to pamiętaj Icek, jeżeli chcesz czasem co odemnie zarobić. Masz!

Podał mu trzyrublówkę.

W chwilę potem, gdy Ocet opuścił już gabinet, Sokołowicz począł telefonować.

Telefonował z pół godziny, rozmawiając z kilku osobami.

Nareszcie odłożył słuchawkę.

— Sjonista on jest — rzekł do siebie — uwidim!

I wyszedł na miasto.

Nazajutrz, jak zwykle, załatwił czynności i interesy sklepowe w kantorze i przyjął Jojne Czystość, który przyszedł z raportem.

Raport Czystości zgadzał się z raportem Octu, recte Octa.

Po wyjściu tego ostatniego Sokołowicz otworzył biurko, dobył zeń mały neseser i flaszeczkę perfum. Przyczesał włosy i zarost, skropił się perfumami, wziął świeżą parę rękawiczek z biurka, futro, laskę ze złoconą gałką i wyszedł.

Udał się przez Bielańską, Plac Teatralny i Senatorską na Krakowskie Przedmieście do cukierni Botta i Clotin'a naprzeciwko Mickiewiczowskiego pomnika.

Tam, wszedł na górkę gdzie stoją bilardy i, stanąwszy w progu, spojrzał na grających.

Grało w „kręgielki“ dwóch panów, z których jeden szpakowaty o zmiętej twarzy brunet, spostrzegłszy przybyłego, skinął mu głową z uśmiechem.

— Co pan tu robi, panie Sokołowicz? — zapytał — na bilard może?

— Nie, ja do pana.

— Do mnie?

— Tak, z interesem i to pilnym.

Gracz spojrzał zakłopotany na swego partnera.

— Ale! dopiero zacząłem partję...

— Nie szkodzi — mógłbyś ją pan przegrać... przypuśćmy, że pan ją przegrał...

— O! jabym wygrał z pewnością!

— Wszystko jedno, jeżeli pan pójdziesz ze mną wygrasz pan więcej...

— Tak? no to trudno! musisz mi wybaczyć — rzekł do partnera — przerwiemy i skończymy później! Czas zapłacę!

Zapłacił i wyszli.

— Gdzie mnie pan prowadzisz? — spytał Sokołowicza.

— Na śniadanie. Gdzie pan by zjadł?

— Ho, ho! tak szeroko? no, to machnijmy tu niedaleko, na róg, do Wejcherta!

Za chwilę siedzieli w małym gabineciku restaucyjnym.

— Wybieraj pan, panie Szponowicz! — rzekł Sokołowicz, podając swemu gościowi jadłospis.

Szponowicz nachylił się nad kartą jadłospisową, nałożywszy na gruby nos binokle, i zaczął dysponować.

— Sandacz w majonezie! hm... ozór na szaro... boeuf Strogonow... — czytał, rzucając z podełba spojrzenia na Sokołowicza! — Czort wie co wybrać...

Sokołowicz uśmiechnął się.

— Przynieś nam kochanku butelkę koniaku, Hennessy trzy gwiazdki — rzekł do kelnera— ćwiart-

kę koniaku, pudełko sardynek i ze cztery jajka na twardo — a tymczasem wybierzemy!

Kelner odszedł pospiesznie.

— Fiu, fiu! — rzekł Szponowicz — to jakoś idzie! będzie śniadanie na urząd, co?

— Dlaczego my sobie mamy żałować? ja przecie powiedziałem panu, że pan zrobi ze mną dobry interes!

— A powiedział pan! powiedział! to można wybierać?

— Jak ja pana proszę!

— No, dobrze. To ja zjem majonezik... niech będzie z nieboszczyka sandacza! a potem... befsztyczek à l Grünberg! to na pańską cześć!

— Dlaczego na moją?

— Bo to uważa pan — w cebulce! befsztyczek duszony w rondelku z cebulką! pyszność!

— Pan zawsze dowcipny panie Szponowicz! ale ja to lubię! I ja zjem taki befsztyk!

— Doskonale!

— A co będziemy pili?

— Hm... piweczko?

— No, my możemy sobie dolać porteru! mnie stać!

— Wybornie! więc z porterkiem!

Kelner wniósł koniak i zakąski.

Sokołowicz nalał kieliszki.

— No, panie Szponowicz! za pańskie zdrowie!

Wypili. Sokołowicz począł rozcierać na talerzu jajko z kawiorem i sardynkami.

— Spróbuj pan — mówił — to jest bardzo dobrze!

— Ja wolę koniaczek sam — ale powiedz no pan, panie Sokołowicz, co to za okazja dziś do takiego śniadania? jakiż to znów interes?

— Zaraz, zaraz! najpierw wypijmy jeszcze!

Nalał znów.

— Za pańskie zdrowie!

— Za ten interes!

— Pan, panie Szponowicz, jest bardzo.. zdolny człowiek!

— Ba! ale goły!

— Hm, taki los... ale pan ma taką zdolność!.. pan tak umie pisać!...

— Cóż, kiedy płacą podle!

— Ja mam dla pana robotę!

— Pan?

— Tak jest. Ja.

— Pisanie?

— Pisanie. Nieduże pisanie, mała rzecz, ale trzeba ją zrobić fajn. I ja zapłacę też fajn.

— Ile?

— Dziesięć rubli.

— Cóż to będzie?

— Pan słyszał o żargonowe gazete „Unser Welt“?

— Aha, coś tam słyszałem. Na Nalewkach gdzieś to jest, czy na Lesznie?

— Na Lesznie. A słyszał pan o redaktorze tej gazety?

— Nic.

— To ja panu powiem. Redaktorem jest nasz żydek, Ustman. A głównym współpracownikiem jest u niego Rybner Szmulowicz. To jest szkodliwy człowiek. Trzeba jemu założyć kaganiec.

— No?...

— Trzeba go opisać. Tak żeby między żydkami zrobił się na niego gwałt.

— Ale ja nie pisuję do żydowskich gazet!

— Wiem. To też pan napisze do polskich. A żydowskie przedrukują.

— Aha! ale co napisać?

— Widzi pan, to jest tak. Ale napijmy się jeszcze — niezły koniak, co?

— O, zupełnie niezły!

— Więc na zdrowie! Otóż ten Rybner chce się po cichu ożenić z jedną bogatą żydówką. Ona ma ojca, ale ona sama rządzi sklepem i majątkiem, ojca się o nic nie pyta. To jest porządna dziewczyna, ale on ją chce obałamucić, bo chce jej pieniędzy. Mnie nawet mówili, że on chce się wychrzcić. Ojciec jest nieszczęśliwy, bo on o niczem nie wie. Nie można pozwolić, żeby się stało takie łajdactwo. On weźmie jej pieniądze, straci, a ją porzuci! Trzeba nie dopuścić do tego!

— Hm! a czemu pan nie pomówi z jej ojcem?

— Co ja będę mówił z niedołęgą! On nic nie wie! on niema żadnej energji! on się zlęknie, zrobi gwałt, a córka jego zakrzyczy i zrobi co chce!

— No, a jak ja napiszę, to co będzie?

— To wszystkie krewne się zlecą i zrobią gwałt! i jej będzie wstyd, ona go od siebie odpędzi! zresztą i jemu też będzie wstyd, że wszyscy wiedzą i on już nie będzie mógł nic zrobić!

— No, niebardzo ja to rozumiem!

— Widzisz pan — to jest tak: ona za jego namową otwiera filję na Marszałkowskiej. Ta filja to będzie ich własny interes, zrobiony za pieniądze całej rodziny, więc będzie to oszukaństwo względem tej rodziny. Teraz wszyscy wiedzą, że ona rządzi wszystkiem to każdy z nią robi interes. Ale jak się napisze, że majątek nie jest jej, tylko całej rodziny, że ona ma rodzeństwo, że tylko ojciec ma prawo rządzić i zawierać umowy, to już nikt z nią nie będzie robił interes. Ani lokal nikt nie wynajmie bez podpisu ojca, ani żadnej umowy porządnej nikt z nią nie zrobi tylko z ojcem. I tym sposobem ocali się ją i majątek rodziny. No, napiszesz pan?

— To mało dziesięć rubli za to. Trzeba napisać nazwiska.

— To pan napisze!

— A później mnie do sądu zaskarżą!

— Oni nie zaskarżą! to już moja rzecz!

Szponowicz nalał sobie koniaku, spojrzał pod światło w kieliszek i wypił.

— Gdyby nawet nie zaskarżyli — rzekł — to i tak sprawa jest trochę trudna...

— Za co?

— Nie wiem czy jakie pismo zechce wydrukować taką sprawę!

— Dlaczego?

— Jakto dlaczego!? Któż to będzie się narażał na skargę i nieprzyjemne następstwa!

— Kiedy ja panu powiadam, że oni nie zaskarżą!

— Ach, pan mi powiadasz! cóż to znaczy? dla mnie może to jeszcze wystarczyć, ale żaden redaktor pisma nie będzie się liczył z prywatnemi zapewnieniami! Kto mu zwróci straty, jeżeli jakie z tego powodu wynikną?

— Jakie straty tu mają wyniknąć? Tu nie będzie żadnych strat!

— Tak? no to daj pan gwarancję pieniężną? dobrze? wzruszasz pan ramionami? aha!

— Panie Szponowicz! co my mamy się spierać, o to czy kto co straci czy nie straci! to nie jest nasz interes! Co pan powie do naszego interesu?

— Co ja powiem... hm! powiem, że ten interes jest trudny...

— No! trudny to jeszcze nie znaczy niemożliwy! Ile ma kosztować ta trudność?

— Panu bardzo zależy na załatwieniu tej sprawy, jak widzę?

— Ja się pana pytam, ile ma kosztować ta trudność?

— Powiedzieć? no to — sto fajgielków!

Sokołowicz wziął jadłospis i począł go przeglądać spokojnie.

Upłynęła chwila milczenia.

Wreszcie Szponowicz poruszył się.

— Cóż? nie odpowiadasz pan? — zapytał wreszcie.

— O co panu idzie?
— No — pytał pan co to będzie kosztować...
— Pan już powiedział ile.
— I co pan na to?
— A nic.
— Jakto nic?
— Ja się namyślę. Odpowiem panu później.
— Kiedy?
— Jak wygram na loterji.
Szponowicz poruszył się.
— Żarty! — rzekł — po cóż mnie było sprowadzać tu!
— Myślałem że pan chce zarobić, że pan jest rozsądny człowiek!
— To powiedz pan, ile chcesz dać!
— Ja powiedziałem dawno!
— Dziesięć rubli?!! to kpiny!
— Od dziesięciu do stu to jeszcze większe kpiny!
— Więc ile pan dasz?
— Skąd ja mogę wiedzieć, ile trzeba?
— Hm! siedemdziesiąt... pięć?... dasz pan?
Milczenie.
— ...Ostatecznie postaram się za sześćdziesiąt...
Milczenie.
— ...I tyle nie?! no! daj pan...
— Powiedz pan odrazu rozumną cyfrę! — rzekł Sokołowicz — po co masz pan tyle razy opuszczać!
Teraz Szponowicz zamilkł.
— Panu trochę wstyd! boisz się pan zepsuć

sobie interes! no, to ja powiem: dam panu na ten interes — dwadzieścia pięć rubli!

— Słowo honoru, panie Sokołowicz, że...

— Po co dawać słowo? ja nie dodam ani kopiejki!

— Kiedyż pan nie chce zrozumieć...

— Ja wszystko rozumiem.

— Ja będę musiał dać coś...

— Jakiemuś pańskiemu znajomemu, co panu pomoże to umieścić — wiem, będziesz pan miał dziesięć rubli kosztów — zostanie panu piętnaście! To dosyć! Napijno się pan!

Nalał kieliszki.

Szponowicz machnął ręką i sięgnął po koniak.

— Tylko pamiętaj pan — to musi być napisane tak cf, cf!

— Już ja to zrobię!

— Najlepiej jak pan napiszesz, przynieś mi pan to i przeczytaj.

— Dobrze.

— Kiedy pan przyjdziesz?

— Jutro.

— Dobrze — o dwunastej czekam pana w kantorze. A teraz — jedzmy!

V.

Sposób na sposób.

W redakcji żargonowego dziennika „Unser Welt“ siedziało za stolikami przy robocie dwóch mężczyzn. Naczelny redaktor pan Ustman i jego główny pomocnik, Henryk Szmulowicz-Rybner.

Lokal był brudny i ciasny.

Mały pokoik ze ścianami malowanemi „na patron“ o dwóch oknach z mętnemi, zakurzonemi szybami, nie miał żadnych prawie mebli prócz półek pod ścianami, zawalonych gazetami, dwóch niewielkich redakcyjnych, obficie atramentem poplamionych stolików, jednego większego, pokrytego papierami stołu i paru krzeseł.

Wieczór był i w lokalu redakcyjnym paliły się gazowe lampy.

Redaktor i jego pomocnik pisali, paląc papierosy.

Wszedł młody żydek i położył przed Ustmanem paczkę listów i gazet. Pan redaktor odłożył pióro i zaczął przeglądać przyniesioną pocztę.

Przejrzawszy listy, wziął się do gazet. Rozwinął wielką płachtę „Plotki Porannej“, i rzuciwszy na nią okiem, pochylił się mocno czemś zainteresowany.

Przeczytał, spojrzał zza gazety na swego pomocnika i pokręcił głową.

— Słuchaj no Gienrych! — rzekł, podając mu gazetę. — Co te goje od ciebie znowu chcą?

— Odemnie? — zdziwił się Rybner.

— Od ciebie! te łajdaki opisali ciebie w gazete! czytaj!

— Mnie?!! — krzyknął, zrywając się, Rybner— pokaż!!!

Ustman wskazał mu palcem notatkę w kronice „Plotki“.

— One piszą, że ty chcesz podejść Mandelbrusta, że zbałamuciłeś mu córkę i chcesz okraść jego i jego dzieci! Co to jest??

Rybner jednak czytał, parskając tylko z gniewu.

— Aj waj! co to za łajdak napisał!!! — zawołał wreszcie, skończywszy. — Ja im pokażę!!! ja im odpowiem!!!

— Tss! ty nie krzycz! ty Gienrych odpowiedz najpierw mnie: czy to jest prawda?

— Ajj! jak ty się możesz pytać na takie rzeczy Ustman?! to jest prawda?! czy wszystko co te łajdaki piszą nie jest łgarstwem?

— Czasem jest, czasem nie jest! ale ja wiem, że ty znasz Mandelbrustów — ty tam bywasz, ty chciałeś się z Sarą ożenić!

— No to co?

— Czy ty mówiłeś z Mendlem, jej ojcem?

— Z kim? co ja mam gadać ż warjatami! un jest miszugien!

— Nieprawda. Un nie jest miszugien. Un tylko jest taki zakrzykany. Un się boi swoje córke. Ale un rozumu ma dobrego. Ale nie o to idzie. Ty nie mówiłeś z nim—znaczy ty to wszystko robiłeś pokryjomu, podstępnie...

— Co znaczy podstępnie?!

— To może znaczyć „mądrze“, albo może być „głupio.“ Jak się uda jest „mądrze“—tobie się nie udało...

— Co nie udało?! już koniec, czy jak?

— Zaraz będzie koniec. Zobaczysz. Uni tam się zbiorą wszystkie do Mendla, zakrzikają na niego, zakrzikają na jego córkę i uni wydadzą ją za mąż, o ciebie się nikt nie spyta...

— Co ty gadasz? za kogo oni ją wydadzą?

— Niewiem... ale ja tobie powiem; ty chcesz się ożenić z Mandelburstówną?

— Pitanie!

— To ty zaraz idź do swata. Co będzie, to będzie, a ty idź do niego. Zapłać jemu, niech on zaraz idzie do Mendla ciebie swatać.

— A ty powiedziałeś, że Mendel będzie zakrzykany?...

— To nic! ale ty zrób swoje!

— A potem?...

— Potem?.. niewiadomo!... to zależy od tego czy ją już swatają z kim...

— Kogo?

— No — Surę Mandelbrust!

— A z kim ją kto swata?

— Czy ja mówię, że ją już swata kto? ja się pitam — ja nie wiem nic!

— To co ty mówisz!

— Wszystkiego się trzeba spodziewać.

— I swatów też?

— Naturalnie! jak ty się o taką rzecz możesz pytać? Ja nawet nie rozumiem tego wcale!

— Dlaczego?

— On się pyta dlaczego! Ty czytałeś tę wzmiankę w „Plotce“?

— Jak ja nie miałem czytać? przecie ty sam mi ją dałeś!

— I nic z tego nie rozumiesz?

— Co ja mam rozumieć?

— Słuchaj — di bist a oszoł! Ty nie możesz zrozumieć takiej prostej rzeczy, że jeżeli to tam stoi napisane to musi być w Warszawie, albo gdzie taki człowiek, co un ma w tem interes, żeby to było wydrukowane i dlatego un to napisał!

— Żeby mnie zrobić na złość?

— Nie! żebyś ty nie mógł ożenić się z Surą Mandelbrust!

— Taak? Kto to może być?

— Ja wiem? ty powinieneś wiedzieć!.. To może być albo twój jakiś wróg, który chce tobie zrobić na złość, albo też taki człowiek, który chce tobie zrobić na złość, albo też taki człowiek, który chce ciebie ubiedz i albo sam się ma żenić z Surą Mandelbrust albo ma krewnego, którego z nią chce ożenić!

— Ujjj! ja nie pomyślałem wcale o tem! to może być! to bardzo może być!!

— A widzisz!

Rybner zaczął biegać po małym pokoiku. Ciasno tam było, więc co chwila utykał na stole czy stołku.

Ustman syknął parę razy.

Próbował zabrać się do roboty, ale przeszkadzało mu to bieganie Rybnera.

W końcu wstał i włożywszy ręce w kieszenie popatrzył na niego jak na warjata.

— Rybner! rzekł — czy ty zwarjowałeś?..

Rybner stanął.

— Czego ty się rozbijasz, jak warjat?

— Przecie ja nie mogę spokojnie usiedzieć!!!

— Tsss! nie możesz! co znaczy „nie możesz“? Człowiek wszystko może tylko musi mieć rozum!

— Ja mam cierpienie!

— To jest cierpienie! to jest głupota! Ty potrzebujesz sobie powiedzieć, że twój interes na to małżeństwo jest zachwiany! rozumiesz? s'macht a bisełe plajte! To ty nie potrzebujesz latać jak dziki wielbłąd tylko potrzebujesz się trochę namyślić: czy te plajte można odrobić, czy nie można?

— Czy ja to wiem?

— To ja tobie powiem! teraz jest robota — numer czeka — numer nie może się spóźnić — to jest interes naszego wydawcy, a jak on będzie na nowej robocie tracił, to on wypędzi i ciebie i mnie! rozumiesz? to najprzód trzeba odrobić robotę, a potem dopiero zająć się swoimi interesami! jakby było po-

trzeba tobie zaraz lecieć do te interesy, to ja dałbym tobie urlop! ale nie potrzebno tak pilno. Ty możesz pójść do swata jeszcze dziś w nocy a jutro będziesz się dowiadywał, kto napisał to świństwo w „Plotce“! a tymczasem ty siadaj i rób! ja tobie to mówię! ja! twój redaktor!

Rybner podrapał się w bujną, czarną czuprynę westchnął i zwolna usiadł. Zaczął czytać gazety. Po chwili spojrzał na Ustmana i rzekł:

— Słuchaj Ustman! ja napiszę, że jeden bogaty goj chce się żenić z jedną żydówką i że potrzebno jest nie pozwolić na to!

Ustman spojrzał na niego.

— Zkąd ty wiesz czy to goj?

— A kto? w ich gazete przecie to napisali!

— To co?

— To może być tylko goj!

— Głupiś ty! niby żyd, jak chce, to nie trafi do ich gazety!

— Wszystko jedno! ja nawet napiszę, że ten goj to jest jakiś redaktor.

— Hm... toby mogło być... tylko ty potrzebujesz nie pisać nazwisk...

— Jakich nazwisk? ja nie wiem żadnych nazwisk!

— To pisz!

Zaskrzypiały pióra.

W kwadrans potem Rybner z tryumfem odczytał swemu redaktorowi notatkę o zamierzonem uprowadzeniu bogatej żydówki, córki bogatego właściciela sklepu przez pewnego goja, należącego do składu

redakcji jednego z pism polskich. Notatka wystylizowana była naturalnie bardzo gwałtownie, tonem pełnym oburzenia, naszpikowana wyrazami ostremi i ordynarnemi. Nazwisk żadnych... Skromny autor tłómaczył czytelnikom, że w interesie młodej dziewicy izraelskiej musiał nazwiska zataić, aby jej nie kompromitować, dodawał jednak pod jej adresem garść przestróg i napomnień aby nie dawała się uwieść gojowi, ani nikomu, co dybie na jej pieniądze.

— A fajn štihele! — rzekł po odczytaniu zadowolony Ustman — widzisz! teraz to ja sam powiem, że ty jesteś mądry! Ty odrazu dwie gęsi strzelasz! Gojom dajesz odprawę, dziewczynę upominasz i dla gazety to jest dobrze, bo lubią nasze żydki takie rzeczy czytać!

VI.

W sieci.

W domu Mandelbrustów na pozór nic się nie zmieniło. Sara jak zwykle chodziła co rano do sklepu wydając przed wyjściem szczegółowe dyspozycje swej gospodyni co do całodziennego porządku w domu; stary Mendel Mandelbrust około jedenastej siadał w swojej budce kasowej oczekując na klijentów— wszystko szło jak zawsze, zupełnie zwyczajnie na pozór, a jednak jakby się coś w tem wszystkiem zepsuło po cichu.

Sara była smutna i zamyślona, odpowiadała wszystkim opryskliwie i szorstko, a Mendel wzdychał. Wzdychał, nawet układając w opałkach drobną monetę. Dawniej czynił to uśmiechając się i uśmiech nie schodził mu z ust póki dotykał pieniędzy. Teraz nie uśmiechał się nawet wówczas, kiedy liczył złoto.

Coś mu dolegało — coś ciężyło — wzdychał i z pod oka spoglądał na córkę.

Ale Sara, jakkolwiek chmurna i posępna, ze ściągniętemi wciąż czarnemi brwiami, snująca się po sklepie, nie zauważyła nawet usposobienia ojca.

W sklepie rozmawiali ze sobą mało, w domu jeszcze mniej.

Nie mieli sobie nic do powiedzenia, bo Sara nie miała zamiaru zwierzać się z niczem ojcu, a on nie śmiał pytać się.

Od ostatniej wizyty Rybnera w sklepie upłynął już tydzień. Przez ten czas Sara nie widziała go ani razu i była coraz markotniejsza. Zaciskała zęby i coraz ostrzej łajała pomocnice i subjektów, coraz więcej roboty odrzucała szwaczkom.

Aż jednego wieczoru, kiedy po zamknięciu sklepu obliczała kasę z ojcem i chowała pieniądze, stary Mendel zatrzymał ją za rękę i rzekł:

— Potrzebujesz przygotować 800 rubli na jutro...

— Coo?

— Osiemset rubli...

— Na co?

— Na madapolam i perkal...

— Na jutro? czy przysłali rachunek?

— Nie... oni tylko odesłali zamówienie...

— Cooo? odesłali zamówienie??

— Tak...

— Z jakim sposobem?

— Przez swojego inkasenta...

— Kiedy oni to zrobili?...

— Jak ty byłaś na obiedzie...

— Czemu mnie ojciec tego odrazu nie powiedział?...

— Było zajęcie...

— Co znaczy zajęcie! ja powinnam zaraz o tem wiedzieć...

— Ja wiedziałem już... to też dosyć...

— Co? coś ty powiedział tate?

— Ja mówiłem co? ja nic nie mówiłem...

Sara popatrzyła dziwnie na ojca i pokręciła głową.

— Bardzo źle stało się, że ty mnie zaraz o tem nie powiedziałeś... Ja jutro zrana zaraz tam zatelefonuję...

— To na nic...

— Jakto na nic?

— Oni powiedzieli, że nie dadzą nic na otwarty rachunek.

— Co znaczy nie dadzą? nam nie dadzą? takiej firmie, jak nasza!.. tyle lat od nich bierzemy!.. nigdy żaden weksel godziny nie czekał!.. rachunki punkt płacone... Co to jest?...

— To jest, że nie dadzą!

— Skąd ty, tate, o tem wiesz?

— Mnie powiedział ten inkasent od nich...

— Co on może wiedzieć!..

— Jemu kazali, żeby tak powiedział.

Sara zamyśliła się.

— Jutro pojadę do nich! — rzekła — zobaczymy!

— Weź od razu 800 rubli i kup towaru...

— Od nich? nic! jeżeli Danziger nie da na bieżący rachunek, tak jak dawał, dotąd przez tyle lat, to ja dostanę gdzieindziej!

— Gdzie? Samuelsohn jest w złych interesach i potrzebuje gotówki — a w manufakturze u Sokołowicza także zażądają gotówki i jeszcze cena niewiadomo jaka!

— Nie pójdę do manufakture ani do Samuelsohna! My możemy brać tylko od Morgenglansów!

— Od kogo?

— Od Morgenglansów!

Stary uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Co ty się śmichasz tate?

— Ja? nic... idź do Morgenglansów... zobaczysz, co ci powiedzą...

— Co oni mi mogą powiedzieć?

— Ja wiem? to ich interes?..

— Co ty, tate, tak gadasz dziwnie?

— Ja?

— Ty! ty kręcisz z głową i śmiechasz się?

— Ja?

Sara wzruszyła ramionami.

— Co ja będę gadać!.. — zawołała — ja zrobię co trzeba i szluss!

Wstała, schowała pieniądze do kasy i poszła do swego pokoju spać.

A stary Mendel uśmiechał się wciąż długo jeszcze, siedząc na swojem krześle przy stole...

Nazajutrz około dziesiątej zrana Sara udała się na Nalewki do kantoru Morgenglansów.

Tam przyjął ją Chaim Morgenglans i wysłuchał cierpliwie dość długiego wstępu, w którym Sara starała mu się dowieść, że chce się przenieść do jego sklepu ze swemi zapotrzebowaniami ponieważ u Danzigera towar jest coraz gorszy.

Kiedy skończyła pokiwał głową i rzekł:

— Ja wiem, ja rozumiem... ale najgorszy towar to jest właśnie ten, co jego niema!

— No... Danzigery nie mają dla was towaru — i przez to bieda jest!

— Biedy żadnej niema! co znaczy bieda? czy my potrzebujemy od kogo łaski?

— To nic... ale wy potrzebujecie towaru...

— No!

— I kredytu na ten towar?

— Kredytu? Kto to powiedział?

— Nie? to wy płacicie gotówką?

— Zawsze płacimy gotówką!

— Przy odbiorze?

— Co znaczy przy odbiorze? płacimy rachunki z miesiąca na miesiąc.

— To znaczy, potrzebujecie kredytu dwumiesięcznego.

— To nie jest żaden kredyt!

— A co to jest?

— To jest otwarty rachunek!

— Niech będzie otwarty rachunek!

— Ja zawsze tak brałam od Danzigerów!

— Ja wiem! ale my mamy zwyczaj taki w handlu, że nowym klijentom nie dajemy otwartego rachunku, tylko towar za gotówkę.

— Dlaczego?

— *Taki już zwyczaj mamy...* Conto otwieramy dopiero po roku.

— Wy się boicie za naszą firmę?

— Nie! my się za żadne firme nie boimy — my potrzebujemy trzymać wszystko w porządku...

— Więc na jakich warunkach wy nam możecie dać teraz?...

— Na jakich? na zwyczajnych! damy wam cenę netto taką samą jak u Danzigerów i regulacja przy odbiorze wprost z faktury.

— To nie jest wcale to samo, co u Danzigerów! My Danzigerowi płacimy po dwóch miesiącach!

— Hm! my wam możemy dać sconto... 1 proc. za gotówkę...

— To jest nic! my takie warunki nie możemy przyjąć!.. nam nie wypada!

— Dlaczego wam to nie wypada?

— Jak wy Morgenglans możecie się o to pytać? Jeżeli my do tej pory mieliśmy kredyt, a na jeden raz nam ten kredyt odmawia kto, to co my jesteśmy warci?.

— Co to do tego ma?...

— To ma dużo! powiedzą, że my bankrutujemy! firma Mandelbrust od tylu lat nie zachwiała się nigdy, a teraz — cofają jej kredyt? Dlaczego!??

— Ja nie wiem — wy o to spytajcie Danzigerów, Sure! I posłuchajcie mnie: nasza firma starsza jest od waszej, i chwalić Boga biedniejsza od waszej nie jest — powiedzcie sami: jak my wam możemy dawać kredyt, kiedy takie łapserdaki jak Danzigery, co muszą robić kredytem, bo gotówki im nikt nie da — i oni też nam cofnęli kredyt? to dlaczego my wam mamy ten kredyt dać?

Sara Mandelbrust zamyśliła się.

— No? powiedzcie! — rzekł Chaim, mrużąc oczy.

Sara żywo podniosła głowę.

— Co wy odemnie chcecie? dlaczego wy koniecznie chcecie z nas zrobić bankrutów? czy myśmy kiedy zrobilli plajte? czy nasza firma regulowała kiedy na 30 proc.!? To jest gwałt! to jest rozbój!! jak to można uczciwie płacące firme robić bankrut! Czy my komu jesteśmy co winni? Czy wam się od nas co należy?

— Ja nie powiem, że się mnie należy, jak się nie należy! mnie się dopiero może należeć, jak wy będziecie brali towar odemnie!

— To czego wy robicie z nami taki kram?

— Ja robię kram? — Chaim wstał szybko od kontuaru i oburzył się — ja robię kram! czy ja do was przyszedłem, czy wy do mnie? Co to za gadanie znowu!

— Ja przyszłam jako klijentka!

— Jako klijentka? dobrze! niechże łaskawa pani da nam zamówienie na towar i zaliczkę, a my towar

dostawimy i poprosimy o regulację rachunku! co tu dużo gadać!

Sara wstała.

— To jest wasze ostatnie słowo, Morgenglans?

— Ja zawsze mam jedno słowo! to nie jest ostatnie słowo, ani nie jest pierwsze słowo — to jest moje słowo!

— Dobrze! wy myślicie, że ja potrzebuję koniecznie od was brać towar?

— Czy ja to powiedziałem?

— A ja napiszę wprost do fabryki!

— Napiszecie! prędko napiszcie! fabryka ma swego reprezentanta, ale może ona da wam specjalne warunki! napiszcie!

Sara wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

W domu namyślała się długo. Była w humorze tak fatalnym i tak wyraźnie dawała to uczuć wszystkim w sklepie, że stary Mendel nie odważył się zapytać jej o towar.

Drugiego dnia pod wieczór, kiedy Sara wysapała się trochę i kiedy sklep zrobił pewien większy i dobry bardzo interes, dostarczając dużą wyprawę dla bogatej córki jednego z większych kupców na Gęsiej — stary Mendel zaryzykował ostrożne pytanie.

Oddając mianowicie córce do sortowania w kasie paczkę banknotów, rzekł:

— No! masz przynajmniej na towar teraz!

— Na jaki towar?

— No... na nasz towar... Danzigery przecie chcą pieniędzy...

— Należy im się co od nas?

— Tylko pięćset rubli...

— To płatne dopiero dziesiątego — a dziś mamy drugiego!

— Ale to o to niema kłopot! na dziesiątego będą inne pieniądze. Tylko teraz oni chcą za nowy towar...

— Nie będziemy brać od Danzigerów!

— Nie będziemy?..

— Co się tate tak dziwisz? oni nam stawiają nowe warunki, to ja nie potrzebuję ich łaski!

— Ja przecie tobie nic nie każę, Sure, ty masz recht! tylko teraz tak czy owak trzeba będzie brać za gotówkę...

— Co znaczy za gotówkę? kto tobie powiedział tate, że trzeba płacić gotówką?

— No, jak Danzigery nie dają...

— Niech oni się powieszą na moim towarze!

— Ny, niech oni się wieszają! mnie to nic nie kosztuje...

— To czego ty, tate, o tem mówisz? po co ty się mieszasz do interesów, które ja prowadzę? co ty słuchasz czyje głupie gadanie?

— Ja nie słucham niczyje gadanie... ja tilkie mi- szlałem...

— Po co ty myślisz? Od myślenia jestem ja! czy ty się kłopoczesz o to, żeby towar był? nie! — ja się o to kłopoczę! i towar będzie! czy to my ban- kruty, czy co? należy się komu co od nas? Takie łajdaki cofają kredyt! aj, waj! ja mam zmartwienie! ja potrzebuję ich kredyt! ja się udam do fabryki i wprost z fabryką zrobię interes! czy my to mało towaru bie- rzemy? rocznie idzie do sześciu tysięcy sztuk perkalu i madepolamu!

— Ja wiem! nie da Danziger to da Morgen- glans!

— Ja z nikim nie chcę robić interesu tylko z fabryką! Versztajst tate?

— Ja rozumiem... ja wiem, ty masz głowę, a fajn kepełe!

O nic więcej nie pytał już.

Ale tego samego wieczoru był w cukierni u Ka- narka i długo rozmawiał z czekającym nań Boruchem.

A Sara kazała buchalterowi napisać list do fa- bryki: sama ten list czytała i kazała go parę razy po- prawiać — w końcu wysłała.

Odpowiedź nie kazała na siebie długo czekać.

Wydział handlowy fabryki odpowiedział bardzo obszernym i uprzejmym listem, że chciałby wejść w stosunek stały z firmą Mandelbrust i że w tym celu napisał do reprezentanta fabryki w Warszawie,

który ma wyłączność sprzedaży na to miasto. A reprezentantem tym jest — Chaim Morgenglans...

Sara Mandelbrust przeżyła teraz szereg bardzo ciężkich dni. Po liście fabryki, do której zwracała się o towar próbowała jeszcze obejść się bez porozumienia z tymi, którzy dyktowali jej twarde warunki.

Usiłowała nawiązać stosunki tu i owdzie z innymi fabrykantami i dostawcami — ale wszędzie spotykała te same wymagania, którym niechciała uledz. Duma jej oburzała się na to. Sama przed sobą nie chciała początkowo przyznać, że czuje jakby dokoła jej interesów i osoby zaciskał się po cichu jakiś mocny łańcuch cudzej woli, krępujący swobodę jej ruchów i postępowania. Ale czuła, że tak jest. Widziała coraz jaśniej, że ktoś umyślnie robi jej trudności i że prowadzi tę robotę zupełnie systematycznie. Nie mogła tylko zrozumieć powodu.

W rasowem przyzwyczajeniu oceniania wszystkiego tylko z punktu wartości materjalnej, dziwiła się, że coś takiego jak kredytowe trudności mogą spotykać ją, której majątek i stanowisko handlowe były niezachwiane i rozwijały się coraz świetniej. Dlaczego? Przecież zapłaty natychmiastowej żąda się tylko od klijenta niepewnego w takich stosunkach. Ale firma Mandelbrust nie jest wcale i nie

była niepewna! Wszak płacą wszystkim regularnie. Sklep doskonale idzie i wszyscy wiedzą, że przynosi znaczne dochody i że Mandelbrustowie mają odłożony, znaczniejszy już kapitał.

A mimo to — ludzie, z którymi łączyły ją dotychczas zupełnie dobre stosunki handlowe naraz zesztywnieli, stwardnieli jakoś tak dziwnie dla niej — nie mogła przekonać ich ani swoim kredytem ani zyskiem...

I zwolna myśli jej przyzwyczajone wciąż kalkulować, nie mogąc znaleźć punktu zaczepienia na żadnej cyfrze, zaczęły błąkać się dokoła sfery pojęć oderwanych.

Błąkały się mozolnie bo nie umiały trafić odrazu na drogę tak im obcą.

Sara wiedziała to jest czuła, przeczuwała, że musi istnieć jakaś inna nie materjalna, nieznana jej przyczyna takiego stanu rzeczy. Nie umiała jej tylko określić. Trudność polegała na tem, że istotnie przyczyną tą była pewna solidarna kombinacja okoliczności, otaczających jej życie, kombinacja cicha i nieuchwytna, wysnuta w mózgu Sokołowicza, wypływająca jednak z pobudek zupełnie materjalnych.

Myśl Sary nie odkryła tej przyczyny, ale, raz wszedłszy na drogę dociekań w sferze pojęć oderwanych — natrafiła tam na swoje uczucie dla kędzierzawego Rybnera.

Czy to było uczucie?

Ona sama tego nie nazywała uczuciem. To był właściwie — projekt.

Rybner był jej projektem.

Projektem zmiany losu, a właściwie sytuacji, projektem pozyskania nowego stanowiska, projektem powiększenia majątku, nowych sukien, brylantowych kolczyków, bywania w teatrze i modnej kawiarni. — Był także projektem pewnych zadowoleń fizycznych, zmysłowych, o których istnieniu nie pozwalała Sarze pamiętać intensywna praca, ale których coraz silniej domagał się jej orjentalny temperament.

Bądź co bądź — myśli jej zatrzymały się na postaci Rybnera i, związanych z osobą jego, projektów.

I wnet rozświeciło jej w mózgu pytanie:

— Co się z nim dzieje? Dlaczego on tak dawno się nie pokazał? Co to znaczy?

Zamyśliła się.

Rybner rzeczywiście nie był u Sary od ośmiu dni.

Nie było w tem nic nadzwyczajnego. On czasem nie pokazywał się przez dwa i trzy tygodnie. Mówił, że jest zajęty. Ale teraz? Teraz on miał przecie kończyć interes i to zaraz! Sam mówił, że przyszedł już przecie czas i niema go...

To się zdało Sarze trochę dziwne. A nawet — podejrzane.

Stanęła przy kantorku za ladą, w kącie sklepu i napisała do niego kartkę. Zapytywała Rybnera

dlaczego tak dawno się nie pokazał, czy nie jest chory i prosiła żeby przyszedł, bo potrzebuje się go poradzić.

Z niecierpliwością wyczekiwała odpowiedzi. Za każdym razem, kiedy wchodził do sklepu jakiś gość, zdawało jej się, że to Rybner.

Ale czekać musiała dość długo, aż zjawił się, nie pan Henryk Abramowicz Rybner wprawdzie, ale chłopiec sklepowy, Icek, który chodził z kartką do redakcji.

— Masz odpowiedź? — skoczyła do niego.

— Odpowiedź? ja nie mam odpowiedź...

— Jakto nie masz?

— Der redaktor hat gesugt er soł bałd kimen!

Sara odetchnęła.

Stanęła znów za ladą sklepową i, śledząc ruch panien rozwijających i rozkładających przed kupującemi stosy różnego towaru, poczęła zastanawiać się.

— Co jej właściwie jest?

Dlaczego wszystkie jej myśli skupiają się dokoła osoby człowieka, którego wprawdzie wybrała sobie sama na męża, ale który nie był z nią nigdy w takim stosunku, który na wspomnienie jego osoby pobudzałby krew do szybszego krążenia.

Kochała go?...

Odpowiedzi na to nie umiała znaleźć. Nie rozumiała dobrze co to jest miłość — ta miłość, o której dużo słyszała, ale która dotąd była jej obcą.

Czuła jakiś niepokój wewnętrzny i zdawało jej się wciąż, że to uczucie minie z chwilą gdy znajdzie się obok Rybnera.

Aha! więc tu potrzeba rady? pomocy? Ucieczka przed tem co ją uciska i dręczy do istoty silniejszej, która przyrzekła jej obronę...

Teraz rozumie już!

W umyśle jej objawiła się teraz z nagłą i dziwną jasnością myśl, że nadaremnie szuka tej pomocy i obrony u człowieka, który miał być jej mężem, ale którego praw do niej nie potwierdziła dotąd żadna formalność, żadne otwarcie i głośno przed wszystkiemi wyrzeczone słowo. Rybner był jej projektem, ale projektem cichym tylko i skutkiem właśnie braku jawnej sankcji — w sferze projektu pozostał.

Zrozumiała, że musiało coś zajść, coś takiego co jego powstrzymywało od usiłowań zamienienia projektu w czyn.

Jakże? Wszak projekt ten był już tak sformułowany i stał pozornie tak twardo, że mieli wynająć nowy sklep?... Dlaczegóż się to nie stało?... Dlaczegóż to „on", ten „jej projekt" nie przyszedł onego dnia, kiedy razem mieli iść na Marszałkowską w interesie swego przyszłego gniazdka?..

Cóż przeszkodziło temu?

Przeszkodziły interesa... ta odmowa kredytu... nie! to nie była przeszkoda! to było zajęcie, które na jakiś czas pochłonęło jej uwagę — ale gdyby Rybner zjawił się był wtedy, byłaby poszła z nim i in-

teres byłby załatwiony. Jedno drugiemu przecież nie przeszkadzało wcale. Ona dlatego zajmowała się sprawą kredytu, że nie mogła zająć się swojemi interesami. Gdyby Rybner był się zjawił, byłaby załatwiła i jedno i drugie.

Ale nie zjawił się.

Dlaczego?

Myśląc o tem, nie szukała już ani obrony ani rady ani pomocy u niego; chciała ocenić sytuację i dlatego za każdą cenę chciała odpowiedzi na to pytanie, nawet gdyby za tą odpowiedzią ukrywało się coś dla niej bardzo przykrego.

Że coś takiego ukrywa się, że czai się jakieś zło pomiędzy nim a nią — czuła. Ale instynkt rasowy, mimo bojaźni przed tem złem, pchał ją do dowiedzenia się co to jest. Ten instynkt przypomniał jej, że cała przyszłość ułożonych już w ogólnym zarysie interesów jej życia, może nagle w tej chwili ulega jakiej zasadniczej zmianie, bez udziału jej woli i wiedzy, a pod wpływem nieznanej jej woli obcej. Uczuła potrzebę obrony tych zagrożonych interesów swego życia i dlatego właśnie chciała wiedzieć, co się koło niej dzieje.

Była właśnie w magazynie za sklepem, kiedy Rybner przyszedł.

Było już ciemno i paliła się tam jedna lampa. On z podwórka zobaczył ją przez okno i wszedł tylnemi drzwiami.

Właśnie chłopiec sklepowy układał pod jej do-

zorem na półkach sztuki madapolamu przywiezionego ze skladu od Danzigerów — za gotówkę.

Sara, zobaczywszy Rybnera, usunęła się szybko w kąt koło drzwi.

— Co się dzieje z tobą, Gienrych?! — zapytała, półgłosem podając mu rękę.

— Co się ma dziać?

— Dlaczego ty nie byłeś wtedy, co mieliśmy iść na Marszałkowską? dlaczego ty nie przyszedłeś potem? dlaczego ty nie napisałeś do mnie, co się z tobą dzieje? może ty byłeś chory?

Rybner zapalił papierosa.

— Ojciec twój jest w sklepie? — rzekł.

— A gdzie ma być? czemu ty się o niego pytasz? dlaczego ty mi nie odpowiadasz? co ty masz za interes do niego?

Rybner puścił gęsty kłąb dymu.

— Dlaczego ty się pytasz o tyle rzeczy naraz?

— O ile ja mam pytać rzeczy?

— O tyle, ile człowiek może odpowiedzieć! człowiek ma tylko jedną gębę, a czem innem nie może mówić! to ty się zapytaj o jedno — a ja ci odpowiem — potem o drugie to ja też odpowiem! i tak się dowiesz wszystkiego!

— To o co ja ciebie mam najpierw pytać?

— Teraz o nic. Teraz ty będziesz odpowiadać.

— Kiedy ja muszę wiedzieć...

— Ty nic nie musisz! ty się i tak dowiesz o wszystkiem, jak będzie potrzebno.

— Ale Gienrych...

— Sza! Sza Sure! Ty mi odpowiedz: czy twój ojciec jest w sklepie?

— Gdzie on ma być? jest w sklepie...

— Czy on z tobą o mnie co mówił?

— Co on miał o tobie ze mną mówić? ja go się nie pitałam, on się też nie pitał...

— Czy do niego przychodzi kto?

— Kto ma do niego przychodzić? Czy on jest hotel? czy on jest cukiernia?

— Każdy człowiek jest hotel, jak ma interesy. A on ma interesy.

— Jakie on może mieć interesy?

— Ja wiedziałem, co ty zaraz będziesz się spytać, jakie on ma interesy. Ale to ja tobie później opowiem.

— Dlaczego później?

— Dlatego, że akurat nie teraz. Teraz ty odpowiedz — więc nikt nie przychodził do niemu?

— Nikt!

— A on często wychodził ze sklepu?

— Dlaczego on miał wychodzić? Ja wychodziłam, dużo to on musiał siedzieć!

— A gdzie ty chodziłaś?

— Za interesami — o towar — ja musiałam chodzić do Danzigerów parę razy — i do tego Morgenglansa łajdaka...

— Dlaczego?

— Bo Danzigery nie chcą dawać towaru na bieżący rachunek, tylko za gotówkę...

— Sejst! nie chcą! oni nie chcą! takie łapserdaki! i co ty im odpowiedziałaś?

— Ja poszłam do Morgenglansa...

— A on co powiedział?

— Że on też nie może...

— A ganeff! a stary ganeff! a gekeszenies ganeff!

— Ja napisałam do fabryki...

— No i co?..

— I oni odpisali, że Morgenglans jest ich reprezentant, to tylko on może sprzedać w Warszawie towar...

— A soj! ja to wiedziałem! ja to czuwałem!

— Co ty czuwałeś, Gienrych?

— Nic! sza! czy ty masz interesy jeszcze teraz do załatwienia w sklepie?

— Dlaczego ja nie mam mieć?

— No to ty Sara, idź do sklepu, załatw co masz załatwić i za pół godziny wyjdź, wsiądź w tramwaj i przyjedź na Marszałkowską ulicę do cukierni tej, co to tam byliśmy razem, wiesz?

— Wiem!..

— To ty bądź tam — za pół godziny! tu nie można rozmawiać — będziesz?

— Będę!

— No, to do widzenia! za pół godziny, pamiętaj!

Uścisnął jej rękę i wyszedł.

Kiedy Sara wróciła do sklepu i stanęła za ladą, wydając dyspozycje co do ekspedycji towaru, stary Mendel wyszedł ze swojej budki i cicho przysunął się do niej.

— Sure schowaj te pieniądze — rzekł, podając *zwitek* banknotów i opałkę drucianą z drobnemi pieniędzmi — ja potrzebuję teraz wyjść...

Córka spojrzała nań zdziwiona.

— Gdzie ty tak potrzebujesz wyjść?...

— Na chwileczkę...

— Ale dokąd?..

— Ja... zaraz wrócę...

— Ale gdzie ty pójdziesz?

— Z interesem...

— Jakie ty masz interesy?

— Nic... każdy ma interesy...

— Co to za interesy? ze sklepu?

— Czy ja się kiedy tobie wtrącam do sklepowe interesy?

— Właśnie przez tego jest mi dziwno!

— Ja się umówiłem z jednym!..

— Z kim się ty umówiłeś, tate?

— Z kim ja się miałem umówić? Z jednym żydkiem z Góre Kalwarje...

— Z Góre Kalwarje?... co to za żydek?

— Un jedzie do rabina — un wraca od naszego warszawskiego rabina.

— Co un miał za interes do naszego rabina?

— On? on nie miał żaden interes!

— No, to co un tu robi? przecie ty sam tate mówisz, że on był u rabina.

— Bo jemu posłał rabin z Góre Kalwarje.. un miał interes tamtego rabina do naszego rabina...

— O co?

— O co? o co mógł być interes jak nie o loterje!

— O loterje? To co to ciebie obchodzi, tate?

— Mnie? nic! ale może ja będę co zarobić przy tem... ja pójdę!

Sara wzruszyła ramionami i, nic już nie mówiąc, wzięła pieniądze z rąk ojca i poszła z niemi do szafy kasowej.

Stary szybko wyniósł się za drzwi.

Ale nie poszedł szukać żydka z Góry Kalwarji. Poszedł prosto na Bielańską. Szedł bardzo szybko, nie zważając na przechodniów, przeciskając się łokciami przez tłum i, doszedłszy do składu „Manufaktury", reprezentowanej przez Sokołowicza, wszedł na podwórze a stamtąd tylnem wejściem do kantoru.

Opowiedział się subjektowi i ten, zameldowawszy, wprowadził go do gabinetu szefa.

Sokołowicz siedział, jak zwykle, przy biurku zawalonem rachunkami, fakturami, listami i przeglądał korespondencję, popijając herbatę.

Obok siedział młody chłopak w studenckim mundurku. Rysy miał wybitnie semickie i lekceważąco spoglądał po otoczeniu.

Ale Sokołowicz nachylił się do niego.

— Przejdź się trochę synu — rzekł — za pół godziny możesz wrócić, będę już wolny. Teraz mam ważny interes z tym...

Głową wskazał wchodzącego Mendla.

Młody Sokołowicz wstał, narzucił szynel i wyszedł.

— Jak się macie, Mendel? — rzekł Sokołowicz, witając starego — siadajcie! szklankę herbaty podać!.. zawołał na chłopca kantorowego, a gdy przed gościem postawiono już dymiący napój zapytał:

— Cóż nowego powiecie?

Mendel pokiwał głową.

Był jakby onieśmiolony towarzystwem wielkiego kupca.

— W sklepie wszystko dobrze?

— Chwała Bogu! niema nic złego...

— A interes?

— Interes? stoi...

— Wy jesteście delikatny ojciec! — rzekł Sokołowicz. — Wy się zanadto boicie własnego dziecka!.. ja wam to mówię! trzeba działać dla jej dobra przecie!

— Ja właśnie o to przychodzę..

— No?

— Un dzisiaj znowu był...

— Kto? Rybner?

— Kto miał być? Rybner był! żeby on nogi złomił, zanim tu przyjechał!

— Po co on ma złomić nogi? jemu nogi niepotrzebne są do tego, żeby on się ożenił z waszą córką! on potrzebuje złomić łeb!

— A szwarc jur! zaraza na niego!

— Zaraza powiadacie? niech będzie i zaraza! czy wy jemu wyrzuciliście precz?

— Jak ja jemu mogę wyrzucić?

— Za kark!

— A Sure? i un jest mocne, jak ten dżykie wół!...

— To wy Mendel, jego boicie się? a?

— Ja sze boję? za co ja sze mam boić ta ganeff! ja tilkie nie chcę sze z nim bić!

— Pewnie! wy macie recht! a co będzie dalej?

— Ja nie wiem?

— No to ja wam powiem: on wiprowadzi wasze córkę i nie wróci więcej! a ona weźmie ze sobą całe kase i wy jej nic nie zrobicie! wy nawet nie wiecie, ile pieniędzy jest w wasze kase!

— Sure prowadzi rachunki!

— Ma się rozumieć, i wyprowadzi je dla Rybnera!

Mendel złapał się za głowę.

— Oj wej mir! — jęknął — wy radźcie! ja do was po to przyszedłem.

— Co ja mam radzić? wy i tak zrobicie to, co zechce wasza córka!

— Ja? ja ją zamknę na klucz! ja jej będę odebrać kasa! wszystkie pieniądze! ja sze sam wezmę do cały sklep!

— Wy tego nie zrobicie!

— Dlaczego, ja tego nie zrobię?

— Bo wy sze boicie swoje córki!

Mendel spuścił głowę i zaczął jęczeć. Sokołowicz kończył spokojnie herbatę.

— Byłaby rada — rzekł w końcu zwolna, ale czy wy posłuchacie?

— Ja wszystko zrobię! wy mówcie.

— Ja wam nie każe wasze córke zamykać, ani jej odbierać rządów w sklepie, bo to byłoby źle. Na handlu ona się zna lepiej od was i zresztą jej wszyscy słuchają — ona sobie nie pozwoli nic odebrać!

— Ja zwołam rabina i familję i kahalnych!

— Głupost! wyjdzie szkandał i wmięsza się policja!

— To co robić?

— Wy ją wydajcie zamąż!

— Za kogo?

— Za syna Chaima Morgenglansa!

— Tcc! Tcc! czy on będzie chciał?

— To już moja rzecz! tylko ona?...

— Una? una nie jest taka głupia! żeby una nie wolała młodego Morgenglansa od ten golec, ten ganeff Rybner! to nie może być!

— Może — ale trzeba przeszkodzić, żeby ona nie widywała tego Rybnera.

— Jak to zrobić?

Mendel zamyślił się.

— Ja jego wipędzę! rzekł w końcu — jak ten ganeff jeszcze raz przyjdzie do sklepu no! to już ja jemu...

Sokołowicz uśmiechnął się.

— Dajcie pokój Mendel! — rzekł kiwając ręką — wy jesteście dobry człowiek, ale słaby człowiek, wy nie możecie jego wypędzić! wy możecie tylko nakrzyczeć! to co będzie? szkandał! a po co szkandał? czy to dobrze dla waszego interesu? albo dla waszej córki? to wstyd! niepotrzebny wstyd!

Zresztą wy się boicie waszej córki i wy nie macie władzy w domu! To trzeba zrobić inaczej.

— Jak?

— Wy musicie Rybnerowi coś dać odczepnego — a rebuchem! ażeby on nie myślał! że traci złoty interes, to wy musicie wasz sklep — sprzedać.

— Co sprzedać??!

— Wasz sklep.

— Po co ja mam jemu sprzedać?—ja niepotrzebuję jego...

— Sza! wy najpierw wysłuchajcie, a potem możecie się zgodzić albo nie.

— Ja nie będę się na to zgodzić!

— Bardzo dobrze! nic więcej nie mam wam do powiedzenia — wy możecie sobie robić co tylko chcecie, wasza córka też i Rybner też! oni się niech żenią, niech Rybner zabiera wasz sklep, niech wasze dzieci nie mają kawałek chleba i wy sami też! co mnie do tego? tylko ja was proszę, Mendel, wy do mnie z tym interesem nie przychodźcie więcej. Schlus!

Mendel skurczył się na krześle i zaczął jęczeć z cicha.

Sokołowicz zapalił cygaro i zaczął przeglądać rachunki.

Ani razu nie spojrzał na Mendla i żaden rys w jego twarzy nie zadrgał najmniejszem choćby wzruszeniem.

Przeszło w milczeniu ze dwadzieścia minut. Sokołowicz czytał, pisał, rachował i palił — Mendel wzdychał.

Nareszcie z cicha odezwał się:

— Czego wy się na mnie gniewacie Sokołowicz? ja biedny człowiek! ja bardzo nieszczęśliwy człowiek jestem!

Sokołowicz milczał.

— Wy nawet nie wytłómaczyliście mnie cały ten interes! Aj wej! to jest nieszczęście!

Sokołowicz dokończył sumowanie kolumny cyfr, i kładąc pióro, rzekł:

— Po co ja miałem tłómaczyć? wy nie pozwoliliście przecie gadać!

— Ja już teraz będę słuchać!

— Ale nie zrobicie tego, co wam poradzę — więc na co radzić?

— Aj jaj jaj! z was twardy człowiek! ja wisłucham, ja się namyślę, ja chcę zrobić, ja chcę was słuchać!

— I sprzedacie sklep?

— Koniecznie?...

— Słuchajcie mnie: sprzedać można tak, żeby sklep był dalej wasz, a wszyscy będą myśleli, że nie jest wasz!

— A symulacje?...

— Kawałek symulacje... to będzie tak: wam teraz wymówili kredyt na towar; o tem wiedzą kupcy w całej naszej dzielnicy; wy musicie kupować za gotówkę; to wy tego nie możecie robić i wy sprzedajecie sklep. Ten sklep kupi młody Morgenglans i on się ożeni z waszą córką. Z takim sposobem sklep do was wróci i wy nie potrzebujecie mieć żaden kram Wy córce dacie posag i dla reszty dzieci będziecie mieli kapitał. A sklep będzie waszej córki

i wy w nim będziecie po staremu siedzieć, tak jak dotąd siedzieliście. Czy to będzie źle? pomyślcie tylko sami! czy to będzie źle?

— A czy młody Morgenglans napewno ożeni się z Surą?

— A kto się ma ożenić? Rybner? czy może ja? Mendel pokręcił głową.

— Wy takie pewne jesteście tego, panie Sokołowicz...

— Ja? ja jestem zawsze pewny każdego interesu, który zacząłem! musi tak iść jak ja chcę! rozumiecie? ja mam głowę! czy wy Mendel słyszeliście kiedy co o Bismark?

— O ten niemiecki Bismark? z Berliniu?...

— Czy był jaki inny francuski Bismark?

— Może był? skąd ja to mogę wiedzieć?

— To ja wam powiem, że nie był, a ja wiem! więc tego Bismarka to nazywali „Żelazny książę“! a wiecie dlaczego jemu tak nazywali? bo on miał takie twarde i mocne rękie jak żelazo! i wszystko z tą ręką gniótł! ale ja mam tilke żelazne głowe! i przez to ja jestem Żelazny Sokołowicz! wy wiecie? Żelazny Sokołowicz! Żelazne głowe lepsze jest od żelazne ręke! bo z rękiem można gwoździ wbić, albo komu parę zęby przewrócić, ale z żelaznem głowem to można człowiekowi drugiemu nietylko zęby przewrócić ale jego całego! o, tak! o, tak!

To mówiąc uderzył ręką w piaseczniczkę, stojącą na biurku, przewrócił ją, a potem chwycił, i wysypując piasek na papier, wołał:

— Wy widzicie ten piasek co leci? Jak ja kogo ścisnę z moją żelazną głową, to z niego tak wszystko leci jak ten piasek! jak ten piasek!. O!!

Uniósł się. Zaczerwieniony z pałającemi oczyma przechylił się przez stół i podsuwał Mendlowi pod nos próżną piaseczniczkę.

Mendel odchylił się w tył i patrzał na niego. Patrzał mu w oczy i nie mógł oderwać spojrzenia od tych rozszeżonych rozpłomienionych wzruszeniem źrenic — patrzył w nie jak ofiara w oczy węża dusiciela, hypnotyzowany żółtym błyskiem, co palił się w źrenicach litwaka.

Odchylił się w tył i patrzał długo nie mogąc oderwać oczu...

Sokołowicz jednak opamiętał się. Cofnął swoją silną wydatną postać w tył, opadł na siedzenie, z którego uniósł się ze wzruszenia chwilowem i płomyki w oczach jego zgasły.

Milczał, sapiąc ciężko, wreszcie uderzył ręką w poręcz fotelu i, zmrużywszy lekko oczy, spojrzał na skurczonego Mendla.

— Skończone! rzekł półgłosem—wytłómaczyłem wam wszystko! więcej do gadania niema nic! Wy, Mendel, zgadzacie się?

Mendel rozłożył ręce z bezradnym ruchem.

— Zgadzacie się, a? ja dziś jeszcze pomówię z Morgenglansem jutro on przyśle swatów... i szabes! a niech waszej córce nie przyjdzie do głowy opierać się! Co ona jest głupia! Ona ma rozum do prowadzenia taki mały sklep! ale nie do dużych interesów! i niech ona nie myśli o ten głupi Rybner! Z nim

już szluss i konczeno djeło! wy jemu musicie coś dać...

Mendel podniósł głowę.

— Za co...?

— Trzeba. A rebuchen... dacie jemu — tysiąc rubli!

Mendel schwycił się za głowę.

— Sza! zawołał Sokołowicz. — Tak trzeba! jak ja mówię: dać! to dać! a tysiąc rubli? pustiaki! Wy nawet nie potrzebujecie dawać gotówką — to się zaraz załatwi! — zadzwonił.

Wszedł subjekt.

— Blankiet wekslowy na 1000 rubli! rozkazał mu Sokołowicz.

Subjekt wyszedł i wnet wrócił, niosąc żądany papier.

— Wy Mendel podpiszecie mi weksel na 1000 rubli — płatny... no! powiedzmy za pół roku... ja Rybnera załatwię! on może będzie się rzucał, ale ja sobie z nim radę dam! Piszcie!

Ale Mendel ociągał się.

— Taki ganeff tyle pieniędzy ma brać!... - szeptał — za co?...

— Co? a jak on wam córkę wykradnie i zrobi szkody na 10 może 20 tysięcy, to co? to wy wolicie? Dobrze! róbcie sobie, co chcecie! Ja myślałem, że wy macie rozum! a u was w głowie sieczka!

Mendel sięgnął po pióro.

— Ja napiszę... szepnął — ale może by jemu dać chociaż na rok? niech un czeka!

— Na rok? rok ja nie mogę! chyba, że wy mi zapłacicie procent za pół roku! bo ja jeszcze będę musiał żyrować weksel, on go zdyskontuje! i on będzie chciał odemnie procent za pół roku gotówką, bo jemu i tak odliczą za cały rok! wy napiszcie tysiąc siedemdziesiąt pięć rubli! 60 rubli procent a piętnaście może koszty z dyskontem! Jak ja daję żyro, nie mogę jeszcze za moją dobroć dokładać koszty! Piszcie!

Mendel zwolna wypełniał blankiet. Pisał wolno z przestankami, namyślając się, ale oczy Sokołowicza pobudzały go. Wreszcie skończył i westchnął.

Sokołowicz wziął blankiet, przeczytał uważnie i schował go do biurka.

Dziś jeszcze, za godzinę będzie tu u mnie Rybner, a potem ja u Morgenglansa. Jutro Morgenglans przyśle swaty, a za trzy dni kupi od was sklep. To musi być zrobione prędko. Inaczej Rybner może się nie zgodzić i zrobić nam kawał! Teraz wy idźcie do domu i rozmówcie się z córką! a git nacht!

Podał mu rękę i odprowadził go do drzwi.

Potem zasiadł znów przy biurku, otworzył szufladę, wyjął weksel, przeczytał go jeszcze raz uważnie, uśmiechnął się i schował go do pugilaresu.

A potem sięgnął po słuchawkę telefonu.

— Stancja? 6971! da, da! 6971! — redakcja „Habokera“? a?... paprasite gaspadina Rybnera...

Zaczęła się rozmowa...

W trzy tygodnie potem w domu Mendla Mandelbrusta obchodzono wesele Sury z młodym Morgenglansem.

Sura była smutna i stary Mendel również...

Rybner wyjechał z Warszawy do Łodzi, gdzie założył nowe pismo żargonowe i podobno ożenił się z córką bogatego przemysłowca.

Opowiadano sobie, że pieniędzy na założenie tego pisma — dał Sokołowicz...

Sklep Mandelbrustów kupił młody Morgenglans. Pieniędzy dał mu na to również Sokołowicz. Był przecie spólnikiem Morgenglansów...

Stary Morgenglans, syn jego Chaim i wnuczek, który żenił się z Surą, byli w doskonałych humorach. Zrobili świetny interes...

Przeszedł rok.

W sklepie gotowej bielizny Morgenglansów, dawniej Mendla Mandelbrusta — dziś własność „Towarzystwa Akcyjnego Sokołowicz, Borysower et Wanzenduft“ siedział w kasie „prykaszczyk“, a za ladą stała Sura i mąż jej Chaskiel.

Sklep sprzedano im, bo Morgenglansowie nie mieli na termin pieniędzy dla uiszczenia się spólnikowi swemu — Sokołowiczowi.

Więc on kupił sklep na licytacji.

Sura sprzedawała właśnie wyprawę dla bogatego klijenta w Łodzi.

— Rachunek wynosi 864 ruble... — mówiła — do dwóch wyfiokowanych żydówek, przerzucających jeszcze stosy tiulów i koronek — dokąd odesłać wyprawę?

— Razem z rachunkiem proszę odesłać do biura pana Sokołowicza i napisać, że to dla państwa Fensterchwanz z Łodzi... on już będzie wiedział!... rozumiesz pani?

Sara schyliła głowę nad ladą, notując adres.

Ręce trzęsły jej się, jak w febrze.

Więc to ona...

Narzeczona Rybnera.. Gienrycha Abramowicza Rybnera..

I ona teraz sprzedaje jej wyprawę jako panna sklepowa, ona, która Rybnerowi cały ten sklep wnieść miała wraz z swą ręką przed rokiem...

Dziś — ona i sklep i wszystko — u litwaków na służbie...

K O N I E C.